POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 2-go listopada 1940r.*** **Rok II. Nr. 34**

Rocznica poprzedniego zwycięstwa

DRUGI RAZ NA OBCZYŹNIE

Drugi raz na obczyźnie obchodzimy rocznicę 11-go listopada, rocznicę zwycięstwa koalicji przeciw-niemieckiej przed dwudziestu dwoma laty. W jakże zmienionych warunkach! Rok temu w Paryżu, choć to było wkrótce po klęsce wrześniowej w Polsce, mieliśmy na każdym kroku wspomnienie poprzedniego zwycięstwa, i obraz Focha, genialnego wodza sprzymierzonych, stał nam przed oczami. Przed dwudziestu dwoma laty Paryż był głównym czynnikiem zdruzgotania potęgi germańskiej, wcielonej wówczas w monarchię Hohenzollernów. *Quantum mutatus ab illo*!—Ileż się od tego czasu zmieniło!

Powojenna Francja nie dorównała swojej starszej siostrzycy; młode pokolenie okazało się słabe i mdłe, a epigoni tamtej wojny zestarzeli się i zgrzybieli. Nie będzie w tym roku w Paryżu powiewających dumnie trójbarwnych sztandarów francuskich; zastąpi je swastyka, wywieszona na gmachach komendantur okupacyjnych. Okupant uczynił, co będzie mógł, aby w dniu tym Francję upokorzyć; to przecież jego specjalność i stała metoda.

My wynieśliśmy szczęśliwie nasze sztandary za morze, i druga rocznica 11-go listopada spędzana będzie na ziemi brytyjskiej. Znaliśmy ją o wiele mniej, niż Francję; tak się złożyły warunki dziejowe. Teraz dopiero zaczynamy poznawać się bezpośrednio z narodami Zjednoczonego Królestwa. W poznawaniu się wzajemnym gra wielką rolę ich gościnność i subtelne zrozumienie naszego położenia, z naszej zaś strony—męstwo oddziałów walczących oraz szybkie odbudowanie gotowości bojowej całej armii polskiej na terenie Wielkiej Brytanii.

Drugi zwycięzca z poprzedniej wojny staje się nam bliski i zrozumiały. Zaczynamy pojmować elementy jego siły; męstwo Londyńczyków podczas ciężkich nalotów nieprzyjacielskich napawa nas taką satysfakcją, jaką napawało nas męstwo rodaków. 11-ty listopada w roku bieżącym zastanie Anglię i nas tu, Polaków, w jednakim pogotowiu.

I niewątpliwie najserdeczniejsza myśl cierpiącej niewolę Polski będzie w tym dniu z nami. Mimo zakazów niemieckich i sowieckich myśl, której nikt jeszcze nigdy skrępować nie był władny, w tym dniu poleci szukać karmy we wspomnieniu, a nas—w naszych obozach żołnierskich. To dalekie obcowanie dusz polskich jest zarodem harmonii i spójni, na jaką zdobyć się podczas wojny i po wojnie musimy.

JEDNOŚĆ—DLA WOJSKA, DLA POLSKI

Musimy. Jest to nakaz bezwzględny. Od wcielenia go w życie, od przejęcia się nim całkowicie zależy po prostu nasze przyszłe istnienie. Toteż z całą siłą przekonania, na jaką stać ludzi, co przeszli już wiele i na wiatr słów nie rzucają, pewnik ten podkreślamy. My, żołnierze polscy, uszykowani do walki o wolną ojczyznę, oświadczamy, że niezgoda wewnętrzna będzie nam takim samym wrogiem, jak nieprzyjaciel zewnętrzny. Potrafimy wywrzeć nacisk na tych, którzy nie dorośli do zrozumienia tej podstawowej prawdy.

Wydaje się zresztą rzeczą pewną, iż kraj, który dał dowody tak wspaniałej karności podczas kampanii wrześniowej, dojrzał jeszcze i okrzepł pod tym względem. Dojrzał w cierpieniu, w twardym zmaganiu o byt, w ciągłym szarpaniu godności narodowej. Muszą o tym wiedzieć i nasi rodacy na obczyźnie, ci, co w wojsku nie są; zastosować się muszą do naszej karności i do solidarności kraju. Nawet tych, którzy po cywilnemu postępują tylko za wojskowymi szeregami obowiązywać musi sytuacja wojenna.

Majestat Rzeczypospolitej salwowany został pośród bagnetów żołnierskich, przez wolę i czyn Naczelnego Wodza, Władysława Sikorskiego. Dzięki temu, mógł na obczyźnie odrodzić się Rząd prawowity przy osobie Prezydenta Rzeczypospolitej i doradcze ciało zbiorowe, reprezentujące symbolicznie zasadę współrządów obywatelskich. To powinni mieć wszyscy Polacy ciągle na uwadze i pojmować, że w dobie obecnej nie ma nic nad wojsko i jego potrzeby. Kto by tego nie pojął, tonął by w złudzeniu, tym szkodliwszym, że bałamucącym opinię zbiorowa i osłabiającym zbiorową energię.

To są wskazania na chwilę bieżącą. Zastanówmy się teraz, jaką naukę czerpać trzeba na przyszłość z listopadowej rocznicy, którą przez lat dwadzieścia przywykliśmy obchodzić, jako święto naszej niepodległości. I dla nas, i dla świata całego jest to zagadnienie kapitalne.

NIEWYZYSKANE ZWYCIĘSTWO

Zwycięstwo roku 1918-go nad Niemcami przyszło w końcu bardzo ciężkich zmagań. Powiedzieć można, że do końca niemal wahało się na obie strony, że nawet zdawało się przechylać na stronę niemiecką. Zwyciężyła szpada Focha, ale ważnym dla niej sojusznikiem stało się wyczerpanie nerwowe przeciwnika. Dlatego tak olbrzymią wagę przykładać trzeba do strony moralnej i w obecnej wojnie. Dlatego tak radować się należy brytyjskiemu spokojowi, opanowaniu i zimnej krwi. Wola zwycięstwa jest połową zwycięstwa; ugięcie się przed pierwszym niepowodzeniem toruje drogę klęsce.

Zwycięstwo poprzednie nie zostało wyzyskane. Świat miał tak dosyć krwawych zapasów, iż z radością i wspaniałomyślnie udzielił Niemcom pardonu, gdy o to poprosili. Uwierzył, że wojna była winą ex-cesarza Wilhelma i kliki junkrów oraz fabrykantów broni; zapoznał fakt istnienia psychiki niemieckiej, na którą mu zwracano uwagę. Psychiki, działającej przez ciąg wieków, ciągle niezmiennie, równie drapieżnie i bezwzględnie. Nie zdobył się nawet na osądzenie tego, kogo za sprawcę wojny poczytywał. Zadowolił się osadzeniem go na wygnaniu holenderskim, byle tylko nie upokarzać Niemców. Błąd ten zemścił się strasznie, jak zemściło się każde dobre słowo, za Niemcami powiedziane, każda dobra chęć, ku nim skierowana.

Zapatrzone w hasła Wilsona, biorąc jeszcze wówczas na serio wersalską ideę zbiorowego bezpieczeństwa, tak słuszną w zasadzie, ludy świata postanowiły po prostu żyć od tej chwili inaczej, lepiej. Stąd wypłynęło okropne w skutkach pobłażanie dla powalonych Niemców, potraktowanie ich, jak innych ludzi. Na skutek tego kraj niemiecki nie zapoznał się z wojną, a naród niemiecki przechował psychologię rabusia, wybiegającego z jaskini, łupiącego na prawo i lewo, a potem znoszącego łup do bezpiecznej kryjówki.

NIE DAĆ SIĘ ZNOWU OSZUKAĆ

Gdy po obecnej wojnie nastąpi zwycięski pokój, Niemcy muszą być potraktowani specjalnie, jeżeli mają być unieszkodliwieni raz na zawsze. Trzeba zdać sobie sprawę, że wszelkie metody, do zastosowania względem innych ludów, do Niemców stosowane być nie mogą. Tu musi zacząć działać ich własna metoda—brutalna siła, która złamie ducha łupieżczego, spotęgowanego jeszcze przez wychowanie młodych pokoleń w nazistowskim duchu.

Można spodziewać się, że upadek Niemiec będzie poprzedzony przez klęskę Führera i jego kliki. Okres ten jest brzemienny w wielkie niebezpieczeństwo. Niewątpliwie bowiem Niemcy, jak zrzucili już raz winę na Wilhelma, wmawiać zaczną światu, iż tym razem winien był tylko Hitler. Chodzi o to, aby świat nie dał się wziąć na lep takiego kłamstwa, aby pojął, że duch niemiecki jest głęboko przeżarty trucizną gwałtu, pychy, okrucieństwa i grabieży, że duch ten musi przez długie lata przejść kurację heroiczną. Zanim zaś nie nastąpi całkowite i radykalne wyleczenie, chory naród musi znaleźć się za kratami, ponieważ zagraża bezpieczeństwu powszechnemu.

Kto wie, czy jednym z najlepszych lekarstw na chorego ducha Niemiec nie będą ciężkie ofiary materialne. Naród, tak przeświadczony o wartości kultury jedynie materialistycznej, musi drogo odpłacić zawinione ruiny, aby odczuł ogrom swych zbrodni. Ale to nie wystarczy. Naród ten musi zaznać i cierpień moralnych, jeżeli chcemy, by powrócił do zrozumienia elementarnej prawdy etycznej: "Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło." Dopiero po przebiciu twardej skóry germańskiej będzie można przesączyć w dusze przyszłych niemieckich pokoleń chrześcijańską prawdę wyższego rzędu: "Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego." Jest to prawda, niedostępna *Raubritterom* i ich potomkom, którym się zdaje, iż są *Herrenvolkiem,* narodem panów, o jedynym zainteresowaniu obszarem życiowym.

Trzeba długich i systematycznie obmyślonych upokorzeń, długoletniego karnego wyobcowania poza obręb społeczności ludów normalnych, aby Niemcy mogły współżyć z innymi narodami. Dopiero po bezlitosnym zdławieniu nowoczesnego pogaństwa, absurdów totalizmu i rasizmu, Niemcy uznani być mogą za jakichkolwiek partnerów w stosunkach ogólnoludzkich.

LEKCJA HISTORII

Nie przez ducha zemsty, ale po prostu dlatego, aby zniszczyć raz na zawsze zbójeckie gniazdo, które usadowiło się na zrabowanych słowiańskich ziemiach w samym środku Europy, wypadnie stosować zarządzenia odwetowe. Może najprostszym będzie zaaplikowanie Niemcom tych wszystkich zarządzeń, jakie oni na ziemiach okupowanych stosowali. Można przypuszczać, że Niemcy sami spodziewają się i obawiają tego; w przewidywaniu nieuchronnej klęski, starają się nieraz zaskarbić sobie względy chwilowych swych niewolników. Nie można liczyć się ze sporadycznymi wypadkami tego typu; uderzać trzeba będzie mocno, bezwzględnie i skutecznie, aby osiągnąć niezawodny wynik.

Powie kto może, że dziecinne są te nasze plany, że dzielimy skórę na niedźwiedziu, który jeszcze ogary rozdziera. Tak rozumować nie wolno. Musimy być gotowi nie tylko do boju, nie tylko do zwycięstwa, ale i do wykorzystania go w lepszy sposób, niż to się stało w roku 1918-ym. Ferdynand Foch nie wahał się twierdzić, że wojna powinna była skończyć się w Berlinie. Nie posłuchano go. Tezę należytego postępowania z Niemcami głosił również we wszystkich swoich dziełach polityczno - wojskowych nasz Wódz Naczelny, generał Sikorski. I opinia brytyjska jest już dziś doskonale zorientowana, iż Niemcy nie są przeciwnikiem gentlemańskim, ale gangsterskim, że więc naiwnością było by pobłażać ludziom, nie przestrzegającym nigdy zasady "fair play."

To wszystko pozwala ufać, iż lekcja wojny roku 1918-go, podkreślona fatalnymi skutkami omyłek, nękającymi ludzkość od kilku lat, będzie pojęta i praktycznie wykorzystana. W wyniku, Niemcy długie lata będą musieli przeżuwać tę swoją lekcję dziejową, i biada im, jeśli jej teraz raz na zawsze nie pojmą. Świat może mieć chwile słabości i nieprzygotowania, ale *pax germanica*—pokój niemiecki, system gwałtu i przemocy, zapanować nad nim na długo nie może.

Antoni Bogusławski

"... Reorganizacja naszych sił powietrznych i lądowych jest ukończona. Pierwsze z nich zasłynęły już czynami, których rozgłos rozbrzmiewa na całym świecie. Drugie obejmują obronę jednego z najważniejszych odcinków operacyjnych Wielkiej Brytanii. Idą one w ślady naszej marynarki wojennej, która pierwsza zyskała sobie rzetelne uznanie Anglików, bijąc się dzielnie od początku wojny u ich boku."

"W tej walce, będącej walką na śmierć i życie stoimy bez zastrzeżeń u boku Wielkiej Brytanii. Związani z nią przymierzem wykluczającym oddzielny pokój, wnosimy do tej walki wartości realne. Jest nią udział polskich sił zbrojnych w boju jaki się toczy na lądzie, morzu i w powietrzu. Nasz udział polityczny natomiast nadaje temu konfliktowi narodów charakter wojny ideowej o sprawiedliwość w życiu międzynarodowym, a nie walki o hegemonię europejską i światową. Jest rzeczą logiczną, że udział ten musi być obustronnie całkowity. Przyjaciele Wielkiej Brytanii są zatym naszymi przyjaciółmi a jej przeciwnicy wrogami Polski.

Wiem, że ujmując tak sprawę mam cały Kraj za sobą. Jego głuchy i zacięty opór wobec najeźdźcy jest dla nas jedynym miarodajnym drogowskazem. Jest on też bardzo poważnym wkładem Polski w tę wojnę. Tej Polski, która choć powalona nie uznała jedyna ... niemieckiego prawa do kształtowania nowej Europy. Zanik wszelkich różnic partyjnych czy społecznych i jednomyślność narodu w dążeniu do odzyskania utraconej niepodległości zobowiązuje nas do rzetelnej jedności na obczyźnie."

(Z ostatniego przemówienia Generała Władysława Sikorskiego wygłoszonego przez radio londyńskie do Kraju.)

Szkic sytuacyjny nr. 3

POWIETRZE NAD ANGLIĄ

Ataki niemieckie z powietrza na W. Brytanię nie ustają ani na chwilę. Było rzeczą do przewidzenia, że Niemcy nie "popuszczą" i że skoro nie udały im się przebicia na wielką skalę i efektowne sukcesy w czasie nalotów masowych, przejdą na system, który można by od biedy nazwać "powietrzną wojną okopową." Jest to wojna na wyczerpanie, wojna długa i męcząca, szczególnie dla mieszkańców wielkich skupień miejskich. Wiadomo jednak, że tego rodzaju wojna okopowa nie może dać rozstrzygnięcia: da go tylko ofensywa.

Z ofensywą zaś Niemcom się nie śpieszy, albowiem w danej chwili nie ma ona widoków powodzenia. Niemiecki sztab generalny musi sobie zdawać doskonale sprawę, że w ostatnich tygodniach wydarzyły się dwa fakty:

1/ zapowiedziana przez Niemców inwazja Anglii nie doszła do skutku;

2/ lotnictwo udowodniło, że nie jest bronią autonomiczną, samowystarczalną.

Oczywiście, Rzesza może dzisiaj rozgłaszać, że nigdy nie myślała na serio o najeździe na Anglię, że były to tylko podstępy i chwyty propagandy, mające na celu zwieść przeciwnika i unieruchomić poważne siły lądowe, morskie i powietrzne w obrębie wysp brytyjskich celem niedopuszczenia ich do basenu Morza Śródziemnego. Nawet jeżeli tego rodzaju tłomaczenie ma w sobie skore ziarna prawdy, to jednak pozostaje faktem, że najazd był zapowiedziany, i że nie został wykonany.

Luftwaffe chełpiąca się tym, że jest najpotężniejsza, niezwyciężona i nie znająca oporu musiała ugiąć się przed wymową rzeczywistości. Dotychczas Niemcy używali *Luftwaffe* jako taranu dla swoich operacyj lądowych. W tej roli była ona groźna, szczególnie jeżeli weźmiemy pod uwagę, że posiadała niemal stale przewagę conajmniej 5 do 1. Z chwilą jednak, gdy ta sama groźna *Luftwaffe* została pozostawiona sama sobie i gdy nie rozporządzała dotychczasową przewagą rachuby zawiodły.

Niemcy próbują obecnie rozmaitych odmian i sztuczek, jak np. rzucanie nad Anglię pościgowców niosących dwie bomby po 150 kg. Myśliwiec taki stara sie wykonać swoje zadanie tzw. przez Anglików systemem *hit-and-run* czyli "uderzyć i uciec." Nie może to oczywiście dać żadnych poważniejszych skutków. Pozostaje zatem bombardowanie nocne, którego ofiarą pada na razie głównie i wyłącznie niemal Londyn. Są noce złe i są noce lepsze, zniszczenie w gmachach i domach staje się co raz bardziej widoczne, ale—nie prowadzi to do celu. I tutaj, ażeby osiągnąć naprawdę dobitne sukcesy, *Luftwaffe* musiałaby podjąć ofensywę.

POWIETRZE NAD RZESZĄ

Anglicy prowadzą dalej swoje metodyczne uderzenia na Berlin, okręg zagłębia Ruhry, Westfalię, węzły kolejowe takie, jak Hamm, Soest, na lotniska, na zakłady lotnicze, fabryki przemysłu wojennego. Wysiłek ich jest z konieczności wielce rozproszony, albowiem trzeba bombardować także raz po raz porty kanału La Manche, pobrzeże Holandii, Brest, Norwegię.

Zadanie zatem lotnictwa angielskiego jest nieporównanie trudniejsze i bardziej urozmaicone. Jest ono jeszcze i przez to cięższe, że w przykrej pogodzie jesiennej, w deszczu i ośmie mgły musi lotnik angielski lecieć o tyle setek km. dalej aniżeli lotnik niemiecki, by dotrzeć do wyznaczonych mu celów.

Dlatego to będzie dobrze, jeżeli Anglia zdobędzie od Stanów Zj. owe potężne "latające fortece" (flying fortresses), które umożliwią zabieranie olbrzymich iście ładunków bomb na wielkie odległości. Wesprze to walnie lotnictwo brytyjskie, chociażby nawet pierwsza przesyłka owych "latających fortec" dla RAF, u nie była wielka (25 do 30 maszyn).

MARSZ BAŁKAŃSKI

Przekonawszy się, że *Luftwaffe* nie dokona niczego, co by mogło mieć znaczenie i wpływ na ostateczne rozstrzygnięcie, Rzesza ruszyła na Rumunię. Podboju dokonano drogą wewnętrznego rozkładu tego państwa i całkowitego poddania sobie jednego ośrodka władzy po drugim. Dzisiaj Rzesza rządzi niewątpliwie w Rumunii: "szkoli" armię rumuńską, zabierając jej sprzęt francuski i angielski i przetapiając go w piecach niemieckich, a dając armii rumuńskiej sprzęt jednolity z armią niemiecką—czuwa nad ropą, rozstawia czaty i pikiety. Gestapo, organizuje już jawnie niemiecką ludność na obszarze Rumunii.

Ropa rumuńska jest oczywiście najważniejszą zdobyczą niemiecką. Nie rozwiązuje ona jeszcze sprawy zaopatrzenia w ropę i benzynę, ale daje doraźny luz i ulgę. Po resztę musiałaby się Rzesza wybrać—do Iraku.

Bułgaria znajduje się obecnie pod niebezpiecznym obstrzałem propagandy niemieckiej: jeżeli ona "puści," wojska niemieckie staną nad granicą turecką, a wojska włoskie ruszą się poprzez granicę grecką. Być może, że Saloniki są wyznaczone jako punkt spotkania się dwóch armij.

MILCZENIE LĘKU

Jest rzeczą oczywistą, że postawa Turcji zależna jest w wielkiej mierze od stanowiska Rosji. Ale Rosja milczy: uprawia dalej milczenie lęku, milczenie osaczanego. Garnizony niemieckie znajdują się już w Finlandii. Nie brak ich w Szwecji, gdzie wciekają niepostrzeżenie. Układ Berlin-Rzym-Tokio ustawił na wschodniej rubieży Rosji straszaka japońskiego. Sowiety są osaczane: jeżeli nie zgodzą się na kuszenia Berlina i nie pójdą same ku Indiom, to—kolej na Rosję przyjdzie szybko, zapewne na wiosnę 1941 r.

Rosja zbroi się, ale zaniedbania w jej pogotowiu są niewątpliwie olbrzymie. Lotnictwo sowieckie można by w pewnym sensie przyrównać do lotnictwa włoskiego: był czas, że zarówno jeżeli chodzi o rozwój nowych typów, jak szybkość i nowoczesność, lotnictwo sowieckie było dobre. Potem dało się prześcignąć przez lotnictwo Rzeszy, a to co Moskale pokazali w Hiszpanii nie było imponujące. Kampania fińska także nie dała zbyt wysokiego wyobrażenia o stanie lotnictwa sowieckiego.

Należy przyjąć, że lotnictwo sowieckie ma dzisiaj tabor ok. 12 000 maszyn, z których duża część jest starszej daty. Brakuje Sowietom ciężkich bombowców, brakuje pościgowców o dużej chyżości. Brakuje wreszcie lotnisk na zachodnich granicach.

Luki w lotnictwie, połączone z brakami w czołgach, liniach komunikacyjnych, drogach, motoryzacji itd. sprawiają, że armia czerwona będzie liczyła na czynnik przestrzeni, jak za dawnych dobrych czasów. Ale obawiać się należy, że w dobie motoryzacji i samolotu, ten sposób już nie wystarczy.

ZACZAJONA JAPONIA

Japonia przeoczyła wielką okazję jaką stanowiło załamanie się Francji, kiedy to można było sięgnąć wcale łatwo po Indochiny i kiedy nawet atak na Indie Holenderskie byłby miał większe szanse powodzenia, aniżeli dzisiaj. Skoro akcja tego rodzaju nie udała się, Japonia musi wziąć na cierpliwość. Bombarduje na razie chiński odcinek drogi birmańskiej i chce zapobiec wciekaniu sprzętu wojennego i wszelakich zapasów do Chin.

Tokio wie, że czujność Stanów Zj. jest już obudzona i że trzeba działać z niezmierną ostrożnością. Z chwilą gdyby Ameryka doszła do umowy z Anglią na temat Bliskiego Wschodu i Oceanu Spokojnego, sytuacja Japonii stałaby się jeszcze bardziej niemiła. Ale te rzeczy ustąpiły na razie na plan drugi w obliczu bliskich wyborów na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

ROOSEVELT CZY WILLKIE?

Wybory te posiadać będą wielkie znaczenie. Nie brak ludzi, którzy twierdzą, że ostatecznie wszystko jest jedno, czy wybraany zostanie Roosevelt czy Willkie, gdyż obaj są za udzieleniem Anglii możliwie najrozleglejszej pomocy w sprzęcie wojennym, a to na razie jest ważniejsze niż wszystko inne. Zdanie to jest tylko w części słuszne. Przede wszytkim wiemy, kim jest Roosevelt, jakie są jego myśli i plany, sympatie i uczucia—Willkie jest politykiem nieznanym. Zachodzi obawa, że tego typu polityk paść mo[illegible] ofiarą wielu intryg, mo[illegible] popełnić niejeden błąd, potknięcie, naiwność.

Tego rodzaju rzecz byłaby dla sprawy sprzymierzonych rzeczą stanowczo niepożądaną. Dlatego w interesie tej sprawy jest bezwzględnie wybór Roosevelta.

London, 23 października, 1940.

Zbigniew Grabowski

Jeszcze Francja nie zginęła

Dziesięć dni temu pisałem o tym, że poddanie się Francji może dła niej oznaczać nie wycofanie się z walki, ale udział w walce po stronie przeciwnej. Dzisiaj (28 października) przepowiednia ta już się sprawdziła. Nie jest co prawda jeszcze znany tekst układu między Pétainem a Hitlerem, nie odbyło się jeszcze spotkanie Mussolini-Pétain, są jeszcze próby powstrzymania rządu francuskiego od stoczenia się po równi pochyłej (depesza króla Jerzego do Pétaina, żądająca oporu, depesza prezydenta Roosevelta, zapowiadająca zajęcie kolonii francuskich na zachodniej półkuli), ale kierunek, w którym idzie polityka Vichy jest już jasny.

Oficjalny komunikat po rozmowie Hitler-Pétain mówi o "współpracy" niemiecko-francuskiej. Jakkolwiekby się ta współpraca wyraziła czy przez zagrożenie Palestyny przez wojska francuskie w Syrii, czy przez udział floty francuskiej w akcjach wojennych, czy też, skromniej, przez oddanie do dyspozycji osi francuskich baz lotniczych i morskich w Afryce i na Bliskim Wschodzie—sens jej będzie jeden: Rząd w Vichy nie tylko zaakceptowałby częściowy rozbiór Francji i utratę części Imperium francuskiego, ale zdecydowałby się w trakcie wojny na "odwrócenie przymierz," na stanięcie po stronie Hitlera i Mussoliniego.

Zarysowałyby się i już się rysują poważne zmiany. Jenerał de Gaulle dotychczas był jedynie dowódcą francuskich sił zbrojnych, walczących wespół z Anglią. Jako rząd Francji Londyn milcząco uznawał rząd Pétaina. Była wszak nawet mowa o tym, że utrzyma się pewnego rodzaju stosunki dyplomatyczne z Vichy. Poul Morand był mianowany przez Vichy reprezentantem handlowym w Londynie, a Anglia miała wysłać ajenta dyplomatycznego do Vichy. Za zgodą rządu angielskiego rządy sprzymierzone, jak polski i norweski utrzymywały w Vichy swych posłów.

W niedzielę zaś de Gaulle ogłosił, że mianuje Radę Obrony Imperium, która przejmie funkcje rządu francuskiego. Jednocześnie przyszła wiadomość, że w Afryce de Gaulle rozpoczął akcję wojskową przeciwko koloniom, w których rządzą reprezentanci Pétaina. A przecież jeszcze niedawno ten sam de Gaulle wycofał się z Dakaru, albowiem nie chciał rozpocząć walki z Francuzami.

Zakończony by więc został pierwszy okres, okres Francji zwyciężonej, ale starającej się utrzymać własne oblicze międzynarodowe. Zaczynałby się okres drugi: Francji współpracującej już w tej wojnie z państwami osi, Francji, potwierdzającej dobrowolnie "nowy porządek" europejski, zapowiedziany przez Hitlera.

Jak mogło dojść do tego? Jakim sposobem tak niedawne oświadczenia ministra spraw zagranicznych w Vichy, Baudouina, że Francja żadnego udziału w wojnie nie będzie brała, mogły ulec przekreśleniu? Co kierowało zwycięzcą z pod Verdun, gdy zgodził się na współpracę niemiecko-francuską?

Francja dziś jest odcięta od świata. O tym, jak się odbyła rozmowa Hitler-Pétain, o tym co mówiono na Radzie Ministrów w Vichy nie mamy i nie możemy mieć żadnych informacji. Mimo to jednak nie jest niemożliwe odtworzenie obrazu, tego, co się musiało dziać w Vichy; nie jest niemożliwe zdanie sobie sprawy z argumentów, które przeważyły szalę.

Przede wszystkim należy pamiętać, że rząd w Vichy wszedł na równię pochyłą. Jeżeli nie oparto się Hitlerowi kiedy jeszcze istniała armia francuska, kiedy flota Francji była nietknięta, kiedy możliwość obrony Imperium francuskiego w Afryce i w Azji była kompletna, trudniej jest obecnie oprzeć się żądaniom zwycięzcy. Zwycięzcy, który ma pełną możliwość szantażowania. Hitler mógł przecież na wypadek odmówienia jego żądaniom nie tylko grozić cięższymi warunkami pokojowymi, to jest oddaniem nie tylko Alzacji i Lotaryngii i Nicei, ale zredukowaniem Francji do Clermont Ferrand z przyległościami. Mógł grozić zajęciem całego terytorium francuskiego i zaprowadzeniem we Francji takich samych metod okupacji, jak w Polsce. Mógł grozić wygłodzeniem Francji.

Tak samo więc, jak jednym z motywów poddania się było, że przez zaprzestanie walki może uda się wytargować korzystniejsze warunki, tak samo i teraz mógł grać rolę wzgląd, że wzamian za współpracę z Niemcami uda się wytargować łagodniejsze warunki okupacji niemieckiej. Nadzieja, że Francję sprzymierzoną z Niemcami gwałt hitlerowski lżej będzie uciskał.

Ale z całkowitą pewnością zasadniczą rolę odegrał również i wzgląd inny. Hitler jest mistrzem w polityce wewnętrznej i w posługiwaniu się piątą kolumną. Od pierwszej chwili istnienia rządu w Vichy zawiesił on nad nim, jak miecz Damoklesa groźbę innego rządu francuskiego, który by spełnił wszystkie jego życzenia, gdyby Vichy miało się zawahać.

Otóż przeciw ludziom i ideom Vichy Abetz, osławiony ambasador niemiecki, zorganizował w okupowanym Paryżu grupę ściśle hitlerowską, grupę "rewolucji narodowej." Podobnie, jak nacjonal-socjaliści w Niemczech, którzy doszli do władzy jedynie dzięki poparciu junkrów pruskich i ciężkiego przemysłu nie przestali agitować przeciwko swym sprzymierzeńcom, jako "reakcjonistom," dopóki sami całkowitej władzy nie objęli, podobnie ludzie von Abetza w Paryżu od pierwszej chwili prowadzili kampanię przeciw ludziom z Vichy, jako eksponentom kapitału, wolnomularstwa, żydowstwa itd. "La France au Travail" organ von Abetza zwalczał rząd w Vichy równie gwałtownie, jak dawne rządy francuskie i zapowiadał, że rewolucja prawdziwa dopiero nastąpi.

Tej samej tezy broni i Doriot, ten ekskomunista, który już na kilka lat przed wojną był na żołdzie hitlerowskim. Broni jej Marcel Déat obecnie naczelny redaktor "Oeuvre," ten sam Marcel Déat, co to zarzekał się umierać za Gdańsk. Między "rewolucjonistami" znalazł się także i najbardziej może skorumpowany z polityków francuskich P. E. Flandin. I on pisze, dzisiaj, że rewolucja we Francji jeszcze nie miała miejsca, że dopiero nadejdzie.

A w półcieniu za nimi wszystkimi stoi, czekając na swą chw[illegible] najgroźniejszy, bo najzdolniejszy przeciwnik, Gaston Bérgery, który gdyby jemu Hitler dyktaturę we Francji powierzył, nie zawahałby się ani chwili przed posłaniem na gilotynę Lavala razem z Blumem, i Baudouina razem z Herriotem.

Mówiąc więc *b* po *a*, i odmawiając po kolei cały alfabet hitlerowski, ludzie z Vichy starają się bodaj ratować własną władzę i nie dopuścić rządów wprost wyznaczonych przez Niemcy.

Ale naród francuski, oszołomiony porażką zaczyna się budzić. Pisma w Vichy, pisma w Paryżu skarżą się, że ludność słucha i wierzy radiu londyńskiemu. Są pisma i ludzie, którzy zaciekle denuncjują zwolenników Anglii i dalszego oporu. Zaczynają się strejki, choć strejkować nie wolno, zaczynają się sabotaże. Żołnierzom i oficerom naszym ludność francuska udziela braterskiej pomocy.

A to, że maleńka Grecja dziś odważa się stawić opór Hitlerowi i Mussoliniemu na pewno bardziej jeszcze podniesie ducha we Francji.

I dziś, gdy myślimy o tym kraju, z którym tak tysiączne łączyły nas więzy, powinniśmy sobie powtarzać to, co kiedyś Mickiewicz powiedział o Polsce, co dziś bez zmiany do Francji można zastosować:

"Nasz naród, jak lawa:
Z wierzchu, gdy spojrzysz na nią
zimna i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat
nie wyziębi.
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy
do głębi."

Czesław Poznański

Z KAMPANII FRANCUSKIEJ

Walki I. Dywizji Grenadierów Polskich

I. Polska Dywizja Grenadierów walczyła jako pierwszą nasza wielka jednostka bojowa na froncie francuskim. Dywizja ta została sformowana, wyszkolona i uzbrojona w okresie od stycznia do maja 1940 i w maju br. skierowana na front. Walki jej obejmują okres od 28 maja do 21 czerwca 1940.

Od 28 maja do 14 czerwca bezpośredni udział w walkach brała artyleria I. Dywizji, tz. 1. Pułk artylerii lekkiej i 1. Pułk artylerii ciężkiej, które to formacje wspierały piechotę francuską. Reszta dywizji kończyła w tym czasie swoje wyszkolenie. Od 15 do 21 czerwca br. cała I. Dywizja, po odzyskaniu swej artylerii, walczyła z Niemcami.

Walki naszej artylerii w okresie od 28 maja do 14 czerwca 1940 są niezmiernie ciekawe i dla nas chlubne, gdyż wykazały, że posiadamy nie tylko ducha rycerskiego w wysokim stopniu, lecz że jesteśmy także zdolni w rekordowym czasie, bo kilku miesiący, stworzyć wojsko techniczne—artylerię—o takim poziomie, że nie ustępowała ona w niczym najlepszej artylerii świata, to jest artylerii francuskiej. Należy nadmienić, że I. Dywizja składała się nie z rezerwistów, ale z rekruta, powołanego we Francji z szeregów naszej emigracji i tylko posiadała doborową kadrę, przybyłą różnymi drogami z Polski.

28 maja stanęły nasze dwa pułki artylerii na linii Maginota, w Lotaryngii w rejonie Sarralbe. Nie była to prawdziwa linia Maginota, najeżona wielkimi fortami, ale 30 km licząca dziura w tej linii w rejonie Sarry, ufortyfikowana już po wybuchu wojny i posiadająca tylko niewielkie schrony betonowe i ziemne. Pozycja ta przy końcu maja była obsadzona tylko piechotą forteczną w dość małej ilości, gdyż wszystkie lepsze wojska zostały skierowane do północnej Francji, w celu obrony Paryża. Artylerii natomiast było dość dużo.

Koniec maja i pierwsze dni czerwca były dość spokojne i pozwoliły nam urządzić się na pozycji, zorganizować dobrą sieć obserwacyjną, tudzież łączność. Dawało się nam we znaki nasze niedostateczne wyposażenie w łączności, ale poradziliśmy sobie, zabierając sporo bezpańskiego kabla w naszym rejonie.

Pogoda była piękna i życie żołnierskie nie byłoby pozbawione uroku, gdyby nie zmora lotnictwa niemieckiego, które całymi dniami bezkarnie wisiało w powietrzu, rozpoznawało i fotografowało. Lotnictwa francuskiego nie widzieliśmy wcale, a artyleria przeciwlotnicza, pomimo gęstego ognia, zestrzeliła przez cały czas tylko jeden samolot.

Po kilku dniach spokojnych, zaczęło się ożywiać przedpole pozycji obronnej. Z początku patrole, a potym co raz silniejsze oddziały piechoty niemieckiej nawiązywały styczność z czatami francuskimi, wysuniętymi przed pozycję główną. Artyleria i lotnictwo niemieckie ostrzeliwały i bombardowały co raz gęściej pozycje, zwłaszcza artylerię, punkty obserwacyjne i nasze tyły. Artyleria nasza i francuska nie tylko odpowiadały energicznie, ale wykazywały jeszcze większą agresywność, aniżeli Niemcy, nie wypuszczając z rąk inicjatywy ognia.

Od samego początku tych walk ogniowych artyleria polska wyróżniała się zaczepnością i celnością ognia. Oficerowie i szeregowi na punktach obserwacyjnych nie darowywali Niemcom żadnego zaniedbania, żadnej nieostrożności, pilnując bacznie przedpola i wykrywając natychmiast wszelki ruch nieprzyjaciela. Oficerowie nasi, korzystając z ogromnych zapasów amunicji (których w Polsce nigdy w takiej ilości nie mieli!)—doszli do niezwykłej wprawy w strzelaniu szrapnelami i granatami, z prawdziwie błyskawiczną szybkością zasypywali gradem pocisków najmniejszy oddział nieprzyjaciela, jaki ukazał się w promieniu naszego działania.

Wkrótce Niemcy rozpoczęli natarcie na francuskie czaty na przedpolu. Natarcia te wykonywano, stosując metodę zaskoczenia i wspierając ataki bardzo silnym ogniem miotaczy min, które niszczyły słabe schrony. Artyleria nasza osłaniała wielokrotnie swym ogniem piechotę francuską, i udaremniła szereg natarć niemieckich, a gdy słaba obsada czat nie mogła się utrzymać, osłaniała jej odwrót, przykuwając Niemców na miejscu swym celnym ogniem. Piechota francuska przyjmowała owacyjnie naszych wysuniętych obserwatorów w pierwszych liniach i serdeczne, wzajemne stosunki zacieśniły się niezmiernie.

Od 10-go czerwca nacisk Niemców na pozycje ufortyfikowane zaczął się wzmagać szczególnie. Pojedynek artylerii nie ustawał w dzień i w nocy, bombardowania powietrzne były co raz częstsze i silniejsze. Łatwo było wyczuć, że zbliża się się natarcie na główną pozycję obronną.

W nocy z 13-go na 14-go czerwca cała artyleria francuska i polska stosowała szczególnie silny ogień zapobiegawczy i zaporowy na lasy na przedpolu, które umożliwiały Niemcom przygotowanie natarcia.

14-go od świtu zaczęło się niemieckie przygotowanie artyleryjskie. Bardzo silny ogień został skierowany w przeciągu kilku godzin na piechotę, artylerię, punkty obserwacyjne, posterunki bojowe dowództw i na tyły. Duża ilość pocisków dymnych zmniejszała widoczność, pogarszając znacznie warunki obserwacyjne. Wreszcie wyszło natarcie niemieckie.

Artyleria nasza, pomimo strat w sprzęcie, strzelała z prawdziwą furią na nacierającą piechotę niemiecką, zadając jej bardzo ciężkie straty. Pomimo ognia nieprzyjacielskiego, kierowanego na nasze pozycje, nie odmówiliśmy żadnemu żądaniu piechoty francuskiej. Natarcia niemieckie załamywały się całkowicie w ogniu naszym i artylerii francuskiej. W pewnej jednak chwili Niemcom udało się wedrzeć w dwóch miejscach na pozycję obronną. Zostali jednak wyrzuceni natychmiast niespodziewanym i brawurowym przeciwnatarciem paru plutonów naszej piechoty, które zupełnie przypadkowo znalazły się na francuskim odcinku (celem zapoznania się z pozycją)—oraz uderzeniem w innym miejscu oddziału rozpoznawczego naszej dywizji. Obydwa te przeciwnatarcia wywołały podziw i wdzięczność dowództwa, i piechoty francuskiej.

Do wieczora dnia 14-go czerwca pozycja obronna została wszędzie utrzymana i wszystkie natarcia niemieckie zostały odparte. Jednak na skutek ogólnego położenia, dowództwo francuskie zarządziło w tym dniu odwrót z linii Maginota. Artyleria nasza otrzymała rozkaz powrotu do swej dywizji, która już zajmowała pozycję obronną nieco w tyle, za linią Maginota.

Rozstanie nasze z piechotą francuską było bardzo serdeczne. Wspólne walki zbliżyły nas, piechota francuska bardzo lubiła i wysoko sobie ceniła "swoją" artylerię polską. Również dowództwo francuskie nie szczędziło nam pochwał ustnych i pisemnych.

Oczywiście, walki te nie obeszły się bez strat. Zwłaszcza jeden dywizjon ciężki ucierpiał mocno od bombardowania lotniczego. Duch jednak żołnierza był świetny, a świadomość dobrze wykonanego zadania i decydującej roli, jaka przypadła artylerii w rozbiciu natarć niemieckich, dodawały mu pewności siebie i zaufania do swej broni.

Oderwanie się w nocy od nieprzyjaciela, pomimo jego ognia, odbyło się szczęśliwie i bez strat.

Artylerzysta z I. Dywizji Grenadierów

Bój pod Champauberthy

Pisali często Francuzi, piszą stale Anglicy o pięknych fragmentach z walk na lądzie, morzu i w powietrzu, a o czynach, często na prawdę bohaterskich naszych żołnierzy na froncie zachodnim, tak dziwnie mało pisze się i mówi! Przytoczę chociażby opowiadanie, jakie słyszałem od kilku żołnierzy o walkach oddziałów generała Maczka na froncie.

Dnia 12 czy 13 czerwca oddział motocyklistów z przydzielonymi czołgami pod dowództwem ś.p. ppor. Jureckiego z 24 pułku ułanów otrzymał rozkaz zająć wzgórze przed miastem Champauberthy i zamknąć możliwie jak najdłużej szosę, biegnącą na południe, aby umożliwić oddziałom francuskim odejście na następną pozycję. Nasz mały oddziałek obsadził nakazany rejon i czekał na natarcie rozpoznawczych oddziałów niemieckich.

Około godziny 3-ej popołudniu wysłane na przód patrole zameldowały zbliżanie się silnego oddziału motocyklistów i czołgów niemieckich, który po drobnych walkach z naszymi patrolami na przedpolu opanował miejscowość Le Desert i lizjerę lasu. Po nieudanych próbach patroli niemieckich, usiłujących wtargnąć do Champauberthy Niemcy zorganizowali regularne natarcie. Pod osłoną silnego ognia k.m. i artylerii, ruszyła na przód ich tyraliera, ale celny ogień naszych k.m. położył ją zaraz w terenie, skąd szybko wycofała się do lasu.

Linia nasza—opowiada z dumą mój informator—leżała spokojnie, chociaż było nas tak mało, i gdyby Niemcy o tym wiedzieli, zgnietliby nas w parę chwil, przy swojej przewadze sprzętu i ludzi. Nasz porucznik, chodził wśród naszej tyraliery, jakby był rozjemcą na manewrach. Uśmiechnięty poprawiał celownik, lub dawał o.p.r. któremuś z kolegów.

O nasz porucznik to "straszny drań,"—dodaje w formie wyznania.—Szwaby wściekały się, prowadziła go w tym spacerze po linii cały czas mąsa pocisków.

W pewnym momencie celny pocisk z armatki przeciwpancernej uderzył porucznika w hełm, zrywając mu go z głowy. Pamiętam, jak porucznik zaklął: "Kozy doić, nie z działka strzelać," i jakby nic dalej spacerował i wydawał rozkazy.

Teraz dopiero, obserwując swoich kolegów, przekonałem się, jak to było potrzebne. Zatroskani patrzyli od czasu do czasu na porucznika i widząc jego spokój i uśmiech, zaczynali się sami uśmiechać, a przecież dokoła nas nie było żadnego własnego oddziału, i co chwila ogarniało nas uczucie osamotnienia, tak przykre w momentach wycofywania się. Porucznik musiał to wyczuć, gdyż powiedział:—"Najlepszą obroną jest wykonywanie moich rozkazów. Nie chcę widzieć smutnej twarzy, bo będę bił"—dorzucał żartobliwie.

Po nieudanym ataku spieszonych motocyklistów niemieckich, ruszyło na nas natarcie około piętnastu czołgów, a z lasu i zabudowań Le Desert rozpoczął się piekielny ogień. Nasze czołgi otworzyły ogień z działek, ale wobec przeważającej liczby zaczęły się wycofywać do Champauberthy.

Porucznik zatrzymał jeden czołg, z kapralem Serafinem, który otworzył szybki i celny ogień, zmieniając stale miejsce. Na naszych oczach stanął w płomieniach jeden z czołgów nieprzyjacielskich, po chwili zatrzymał się celnie trafiony drugi. Reszta powracających czołgów otworzyła wściekły ogień i ruszyła na przód.

Na prawdę piękny to był widok, gdy przed trzema naszymi czołgami zmykało trzynaście czołgów niemieckich, z których jeden został rozbity, a jeden uszkodzony, kręcił się w koło jak bąk. Chłopcy szaleli z radości. Kapral Gniadek siadł z r.k.emem na wieżyczkę czołgu i ostrzeliwał wycofujących się. Bohaterem dnia był jednak kapral "S" z czołgów.

Po wycofaniu się czołgów Niemcy próbowali zaskoczyć naszą obronę lewego skrzydła, posuwając się pod osłoną . . . krów. Jeden z naszych kolegów zauważył, że pasące się jakieś dwa kilometry od nas bydło, zaczyna się dziwnie szybko z boku zbliżać ku nam. Zameldował o tym porucznikowi, który kazał ostrzelać krowy, i—za pierwszymi seriami wysypała się i zaczęła biec niemiecka tyraliera. Z obu stron zagrały k.m.-y, Niemcy, zdemaskowani, zaczęli wycofywać się do lasu, pozostawiając zabitych i rannych.

Porucznik, czy to wiedziony przeczuciem, czy może znając dobrze taktykę Niemców, przerzucił wszystkie r.k.m.-y na prawe skrzydło. Ponieważ było tam zupełnie spokojnie, bardzo nas tym zdziwił. Jego przewidywania były, jak się okazało słuszne, gdyż z duchty leśnej wypadło pięć aut i cztery motocykle. Pędziły w szalonym tempie polną drogą w stronę samotnego zagajnika, chcąc nas prawdopodobnie oskrzydlić i odciąć. Od pierwszej serii leżącego przy szosie r.k.m.-u zostały rozbite dwa motocykle, a pozostałe wpadły na nie, wywracając się. Od następnych celnych serii, stanęły dwa auta, a inne zaczęły zawracać w terenie. Z uszkodzonych samochodów wysypali się jak gruszki, sieczeni celnym ogniem Niemcy, wieszając się na umykających autach, lub biegnąc bezładnie w kierunku pobliskiego folwarku. Kilkakrotnie wychodziła niemiecka tyraliera, chcąc dostać się do porzuconych samochodów, i zawsze wracała z niczym.

I mimo, że mieliśmy podobno siedzieć za wszelką cenę tylko do wieczora, siedzieliśmy—dodaje z dumą—do północy.

Opowiadanie kaprala Kuczyńskiego, który jako goniec dołączył z kwatery głównej do oddziału ś.p. ppor. Jureckiego, to piękny, twardy i fascynujący obrazek walk naszych żołnierzy we Francji. Miłe są słowa zachwytu dla oficera, którego znał krótko, a gorąco pokochał.

Witold Czulanowski

Szeregowiec Kępa

Do jednego z łańcucha lotnisk, tuż za plecami Maginota, przypadła nasza grupka patrolu myśliwskiego. Były to ostatnie dni marca 1940.

Było nas kilkunastu. Wśród ogółu naszych francuskich kolegów byliśmy jakby wysepką, jakby kępką polskich żołnierzy lotnictwa, których jako pierwszych Naczelny Wódz pożegnał i wyprawił na nowe szlaki walki z wrogiem. Właśnie my pierwsi z armii polskiej odrodzonej we Francji mieliśmy to szczęście stanąć znów naprzeciw wroga do walki o Wolność Ojczyzny.

* * *

Dni schodziły za dniami: to na patrolowaniu nieba, to znów na osłonowych wyprawach rozpoznawczych w głąb kraju wroga. A kiedy znów na niebo wichry naniosły zwoje ciężkich chmur i deszcz padał rzęsisty na wiosenną ziemię francuską, my myślami dążyliśmy na wschód, gdzie za pobliskimi górami i lasami był wróg a dalej ukrzyżowana Ojczyzna, czekająca wiosny Wyzwolenia.

Na froncie było cicho. Przeglądane komunikaty wojenne głosiły "*rien à signaler,*" a gdy od czasu do czasu posłyszeliśmy od wschodu głosy armat jakiegoś grubszego kalibru, głosiły one, że była to wymiana strzałów artylerii.

A wiosna szła. . . . Pobliskie lasy zaczęła pokrywać wesoła, młodziutka zieleń. W serca nasze weszły najlepsze nadzieje. Oto wiosna idzie a za nią słońce . . . słońce wolności Polski. Byle prędzej rozprawić się z wrogiem, przecież chcemy przez Berlin. . . .

A tu znów ciągle "*rien à signaler*" oraz blokada i blokada. . . .

Aż pewnego dnia, mimo dobrych komunikatów . . . mimo blokady . . . . Dania, . . . Norwegia, . . . jakiś Stawanger, daleki Narvik, a my, . . . my przecież tak chcemy przez Berlin . . . tak prosto. . . .

A wiosna wciąż idzie. . . . Boćki przelatują co raz częściej, szukając gniazd . . . a gdzieś wysoko też co raz częściej przelatują i gniazd wypatrują . . . zdaje się, że chcą sobie dobrze zapamiętać.

Przychodzi maj w powodzi kwiatów. Polski Trzeci Maj . . . flaga polska w środku, na honorowym miejscu, . . . a niebo płacze wokoół, za polskimi dziećmi, co to trzymając w rączynach "biało-czerwone" śpiewały radośnie: "Witaj majowa jutrzenko." Flagi zatknięto na tak charakterystycznym dla każdej najmniejszej nawet wsi francuskiej pomniku "Poległym na polu chwały," gdzie nazwiska poległych dzieci Francji zdobią cztery ściany. Wysoka cena tego zaszczytu . . . najwyższa. . . .

Pozwól Boże i nam zapłacić nawet taką cenę, byle na swojej ziemi, by niebo nie płakało, i aby znów Ci śpiewały dzieci: "Witaj Majowa" . . .

Przyszło znów słońce i te noce wygwieżdżone, pełne złowrogiego warkotu. Wywiad doniosł pewnego dnia, że nasze lotnisko ma być zbombardowane. Należało zmienić lotnisko, lecz Francuzi, pewni siebie gospodarze odpowiedzieli, że "boche" nie będzie miał odwagi ich zaatakować . . . "jamais" . . .

I przyszedł wczesny ranek 10 maja. Zaskoczenie udało się znowu. Ktoś z naszych, zarażony pewnością Francuzów, zobaczywszy trójkę bombowców na małej wysokości orzekł: "to Anglicy wracają z roboty, przecież artyleria nie strzela . . ."

A za chwilę była istotnie robota. Paliły się trafione samoloty, ziemia drżała od wybuchów, byli zabici i ranni. . . . Nawet nie miał kto wsiąść na ogony i sprać na amen . . . psiakrew uciekli. . . .

A więc już się zaczęło, teraz my będziemy może szli na przód, będziemy rąbać drogę do Polski. . . .

Był między nami chłopiec spokojny, pracowity, sumienny, zaparty w sobie i w miarę pyskaty . . . był szarym tylko szeregowcem, i pomocnikiem mechanika, nazywał się Kępa Wacław.

Z pogardą odnosił się do bomb i do wiszącego gdzieś wysoko wroga. Nie zwracając na nic uwagi, spełniał swoje szare obowiązki: czyścił maszynę, zawzięcie ładował amunicję do karabinów maszynowych i armaty, nalewał benzynę, byle jak najprędzej jego kochany ptak z biało-czerwoną szachownicą mógł lecieć i prać tych s. . . .

Pracując myślał sobie z uśmiechem—przecież Szwaby na sam widok szachownicy wieją . . . świeć Szwabom szachowniczko prosto w ślepie i bij na śmierć . . . za Warszawę, za Lwów, Siedlce i Lublin i może za moją wieś. . . .

Mimo alarmu pozostał na swoim posterunku. Jego samolot musi przecież mieć benzynę, dopiero wrócił z walki . . . a wysoko w górze już krąży i przymierza się . . . prędzej benzynę . . . jedna myśl, jedno pragnienie . . . reszta nic. . . .

Nagle świst przeraźliwy, ogłuszający huk, słup ognia.—Jezus Maria . . . nie skończyłem benzyny—szepczą usta Kępy—gdzie maszyna. . . .

Ogień szybko ogarnął samolot, tylko jego jęzory dłuższy czas cofały się i podchodziły pod brzegi szachownicy, szachownicy amarantowej jak krew i białej jak niewinność.

Eksplodująca amunicja gra ostatnie preludium . . . a po chwili tylko kupka spalonego na biały popiół samolotu i obok krew amarantowa wiernego Kępy—oto polska szachownica. . . .

Z śmiertelnych, ran, zadanych przez bombę niemiecką, w szpitalu francuskim umarł polski, szary bohater obowiązku, Kępa Wacław . . . i nawet nie miał do kogo wyrzec ostatnich słów w ojczystej mowie. . . .

Panie świeć nad jego duszą.

Na obcej ziemi, na szlaku powrotnym a twardym, legł wierny syn Ojczyzny . . . legło ich wielu. . . .

Henryk Wachnicki

Polsko-angielskie związki kulturalne

III

POLSKI OBÓZ RÓŻNOWIERCZY

W wieku XVII-ym współżycie kulturalne polsko-angielskie szczególnie silnie przejawiło się w sferze życia religijnego. Tolerancja religijna, poszanowanie dla cudzych przekonań, jakie w Polsce utrwaliło się już w dobie panowania ostatnich Jagiellonów, imponowało skłóconemu pod względem religijnym Zachodowi. Obóz różnowierczy polski, mimo swego rozbicia—tworzyli go protestanci, kalwini, bracia czescy i arianie—był siłą poważną, z jego głosem liczył się świat różnowierstwa europejskiego. I mimo, że wiek XVII-y, zwłaszcza jego druga połowa, przynosił ze sobą wzmożenie się i odrodzenie katolicyzmu, mimo że siła rozpędowa ruchu reformacyjnego już słabła, że zaznaczały się już pierwsze objawy nietolerancji, to jednak właśnie w tym wieku rozpoczęło się promieniowanie polskiej myśli reformacyjnej na Zachód.

Kościół katolicki, po Soborze Trydenckim, mając na swych usługach nowy zakon Jezuitów, odznaczający się żarliwością i niezwykłą energią w walce z różnowiercami, wyszedł zwycięsko z kryzysu, jaki wywołała reformacja i silny swą jednolitością stawał się niezwykle groźnym przeciwnikiem dla rozbitego, skłóconego wewnętrznie obozu różnowierczego. Tak było w Polsce, podobnie układały się stosunki i w niektórych krajach zachodniej Europy. Sprawa usunięcia różnic wyznaniowych pomiędzy poszczególnymi odłamami protestantyzmu stawała się sprawą życia i śmierci wobec naporu, z jakim występował bojowy, skonsolidowany obóz kontrreformacji katolickiej.

SZKOCKI PROPAGATOR ZJEDNOCZENIA PROTESTANTYZMU.

Żywa była ta sprawa w czasie wojny 30-letniej. Idea zjednoczenia rozbitego protestantyzmu znalazła fanatycznego wyznawcę w osobie Szkota Johna Durie' go, pastora w latach 1625-1630 kolonii angielskiej w Elblągu, który przy pomocy protestantów polskich chciał doprowadzić do pogodzenia i jednolitości wyznaniowej protestantyzmu niemieckiego. Dla tych pomysłów usiłował zjednać protestantów małopolskich, wielkopolskich i litewskich, utrzymywał korespondencję z czołowymi protektorami tego ruchu wśród polskich magnatów, z hetmanem litewskim Krzysztofem Radziwiłłem, wojewodą bełzkim Rafałem Leszczyńskim. W jednym z listów tłumaczy, dlaczego z tego rodzaju inicjatywą zwraca się do Polaków: "Całemu światu chrześcijańskiemu wiadomo, ileście wysiłku podejmowali w tym samym celu od wielu już lat i u siebie samych i wobec zagranicy świeciliście pod tym względem przykładem wszystkim prawowiernym i dotąd przyświecacie." Durie nalega na polskich protestantów, by podjęli tę inicjatywę, by oddziaływali poprzez swe władze wyznaniowe na rozbite protestanckie Niemcy.

W Lesznie korzystając z życzliwej opieki magnackiej rodziny Leszczyńskich, rozwijali swą działalność Bracia Czescy, którzy tu schronili się przed uciskiem habsburskim; i do nich też zwraca się Durie prosząc o współpracę w swoich zabiegach: "Tu szczególne Bóg okazał Wam dobrodziejstwa, dał Wam bowiem i Króla Władysława IV-go życzliwego tym usiłowaniom i usunął obawę, jakiegokolwiek prześladowania publicznego."

POLSKA W OCZACH ZACHODU

Przytoczone tu wyjątki z listów Szkota osiadłego w Polsce, pokazują jasno, jaką nadzwyczaj korzystną opinią cieszyła się wówczas w oczach Zachodu Polska dzięki swej tolerancji religijnej i pokojowi wyznaniowemu. Mimo że protestanci polscy, którzy już w tym czasie raczej przeżywali okres osłabienia swych wpływów, nie podjęli inicjatywy Durie' go, to jednak myśl jego stwarzała i w Polsce korzystne podłoże dla prób pogodzenia rozbitych wyznań, torowała drogę dla pomysłów tolerancyjnego Władysława IV-go, który w "colloquium charitativum" w Toruniu w 1645 bezskutecznie usiłował pogodzić skłócone wyznania.

IDEOLOGIA BRACI POLSKICH

Wśród różnowierstwa polskiego grupę całkowicie odrębną stanowili t. zw. Bracia Polscy, zwani też inaczej arianami, lub antytrynitarzami (gdyż odrzucali dogmat Św. Trójcy), albo od nazwiska jednego z głównych swych teoretyków socynianami. Był to odłam najskrajniejszy w obozie polskich różnowierców. Najskrajniejszy zarówno jeśli idzie o stanowisko religijne, jak bardziej jeszcze może ze względu na ideologię polityczno-społeczną. W sprawach zagadnień wiary stali na stanowisku pierwszeństwa rozumu, opierali się na piśmie świętym, jako jedynym źródle wiary, odsuwając tradycję Ojców Kościoła, odrzucali dogmat Trójcy Świętej. Już to wystarczało, by byli potępieni nie tylko przez katolików, ale nawet przez kalwinów i protestantów. Do tego dołączał się skrajny radykalizm społeczny. Bracia Polscy odrzucali zasadę własności prywatnej, prostotą życia w swych zborach wprowadzali w czyn głoszone przez siebie idee, byli szermierzami pacyfizmu, całkowitej wolności sumienia i humanitaryzmu.

Ideologia Braci Polskich wygnanych w r. 1658 z Polski zaczęła szybko promieniować na Zachód. Ich wpływy były silne nie tylko w Siedmiogrodzie, dokąd schronili się po wygnaniu z Polski, ale przejawiły się także w Holandii, Anglii, ich katechizm rakowski z r. 1606, przetłumaczony na kilka języków, był jednym z najgłośniejszych pism religijnych w Europie. Oni dali początek t. zw. unitaryzmowi, do dziś silnemu wyznaniu w Anglii, a zwłaszcza w Ameryce, ich hasła ideowe zapłodniły silnie wielu myślicieli oświecenia europejskiego. Świat arian polskich, niezwykle ciekawe postacie jego reprezentantów do nauki polskiej wprowadził Aleksander Brückner, ich ideologię polityczno-społeczną, jej promieniowanie na kraje zachodnie śledził w swych studiach Stanisław Kot. Poszukiwania badaczy podziałały niewątpliwie pobudzająco na naszych powieściopisarzy, z których Żeromski poświęcił Arianom kilka kart gorąco odczutych w "Nawracaniu Judasza," a Kossak Szczucka w "Złotej Wolności" dała szeroko zakrojony obraz życia tej grupy religijnej.

PROPAGANDA BRACI POLSKICH W ANGLII

Idee arian polskich zaczynają się szerzyć w Anglii po roku 1630. Grunt nie był tu zrazu dla nich podatny. Społeczeństwo angielskie było przestraszone ich skrajnością. Wystarczyło, by do kogoś przylgnęła nazwa socynianina, by był on znienawidzony i podejrzany. Socynianizm w Anglii był przez władze państwowe i kościelne najsurowiej zakazany, tępiony, znienawidzony przez wszystkie wyznania, stąd też jego propaganda kryć się musiała w mrokach konspiracji. W Anglii toczyła się wówczas zażarta walka między protestantyzmem a katolicyzmem, przyczym królowie narzucali kompromis. Pierwszym z pośród Braci Polskich, który usiłował bezpośrednio zainteresować świat teologów angielskich kierunkiem polskiej myśli religijnej, był Szymon Budny, wybitny teoretyk ariański. Gdy w r. 1594 ukończył przekład Nowego Testamentu, odwiedził go w Łasku Anglik Ralph Rutter, skorzystał z tego pośrednictwa Budny, który znał głośne dzieło Foxe'a o historii prześladowań religijnych za Marii Tudor i dla Fox'a napisał obszerny memoriał zawierający wykład ideologii Arian.

KATECHIZM RAKOWSKI W ANGLII

Ale niebawem Bracia Polscy zaryzykują śmielszy krok mający na celu propagandę swych idei w Anglii. Po założeniu szkoły i drukarni w Rakowie podejmują oni planową propagandę w różnych środowiskach zachodniej Europy. Gdy słynny katechizm rakowski z polskiego wydania przerobiono na łacinę, Hieronim Moskorzewski poświęcił go królowi angielskiemu Jakóbowi I-mu. Nie wiemy, jakie konkretne plany mieli na oku Bracia Polscy dedykując ten katechizm królowi angielskiemu. W dedykacji tłumaczy Moskorzewski, że jest życzeniem Braci, aby katechizm wyszedł na najszersze światło, do rąk największej ilości ludzi, a przy tym aby spotkał się z krytyczną oceną. I dlatego wydają go pod imieniem króla. Ani agenci angielscy w Polsce, ani król sam nie byli zachwyceni tą dedykacją. Król był obrażony tym zuchwałym w jego oczach krokiem Arian, nic też więc dziwnego, że niebawem w r. 1614 publicznie spalono w Anglii katechizm rakowski.

Mimo jednak niepowodzenia tego pierwszego kroku Bracia Polscy bynajmniej nie rezygnowali z propagandy swych idei w Anglii. Druki rakowskie Arian zręcznie rozsyłane z Gdańska docierały do wszystkich krajów zachodniej Europy, zalewały Holandię i Anglię. Pisma wybitnych teoretyków ruchu ariańskiego, Socyna, Crella krążą wśród świata teologów angielskich. Teolog oxfordzki John Prideaux, kilkakrotny kanclerz uniwersytetu, opracował rodzaj poradnika orientującego w literaturze socyniańskiej. Może to być wymownym sprawdzianem jak szerokie kręgi zatoczyła ona na tym gruncie. Ale nie tylko poprzez druki rakowskie przenikała ideologia Braci Polskich do Anglii; jej wpływ szerzył się także poprzez sferę kontaktów osobistych. Poeta angielski Tomasz Segeth, przyjaciel Szymonowicza bawił w r. 1612 tydzień w Rakowie, skąd wyjechał oczarowany przyjęciem zgotowanym mu przez Arian. Bracia Polscy, przebywający na studiach w Holandii, Francji, robili częste wycieczki do Anglii, zabierając ze sobą niezawodnie wiele druków ariańskich. Co więcej, w Anglii bawił kilka miesięcy Marcin Ruar, bardzo utalentowany propagator ideologii Braci, który spotkał się tu z tak życzliwym przyjęciem, że chciano go zatrzymać, proponując mu stanowisko profesora w Cambridge.

WPŁYW BRACI POLSKICH NA MYŚL ANGIELSKĄ

Tak więc wszystkimi porami wciskała się ideologia Braci Polskich do Anglii. I choć teologowie angielscy nie przyjmowali dogmatów religijnych Braci Polskich, to jednak niezawodnie ulegali wpływowi ich ideologii, przejmując się duchem tolerancji Braci Polskich, ich metodą racjonalistyczną w rozstrząsaniu zagadnień religijnych. Znakomici pisarze teologiczni angielscy rozczytywują się w pismach Braci Polskich. Chillingworth, najtęższy pisarz teologiczny tego szasu, zna pisma Socyna, pozostaje on w stosunkach z Lordem Falklandem, który głośno przyznawał się do nauki Braci Polskich. W kolegiach Uniwersytetu Oxfordzkiego młodzi teologowie angielscy rozczytywują się w pismach Arian. Wobec takiego rozprzestrzeniania się tej ideologii, nie zdziwi nas interwencja rządu angielskiego w r. 1639 w Holandii, przestrzegająca przed propagandą Arian, zwracająca uwagę, że kilku Arian wybiera się przez Gdańsk do Holandii.

GMINY ANTYTRYNITARSKIE W ANGLII

Od roku 1643 propaganda Arian rozwija się szczególnie silnie w obozie angielskich radykałów religijnych. W r. 1646 Parlament nakazał aresztować teologa z Cambridge Paul Bert'a, który był w Polsce, za propagandę haseł Arian. Niebawem powstaje w Londynie wokół Bidle'a, nauczyciela z Gloucester, pierwsze w Anglii zgrupowanie kościelne o kierunku antytrynitarskim. Ci t. zw. Bidellianie w r. 1651, w momencie aresztowania Bidle'a, zaczęli na gruncie angielskim wydawać pisma Braci Polskich, wówczas to pojawił się katechizm rakowski, pisma Przypkowskiego i innych.

Rządy Cromwella raczej sprzyjały propagandzie skrajnych grup religijnych. Cromwell wprawdzie daleki był od jawnej sympatii dla antytrynitarzy, ale ochronił Bidle'a od więzienia i wysłał go na wyspę Scilly, zapewniając mu tam zasiłek.

PRZEŚLADOWANIA

Ciężki czas nastał dla antytrynitarzy z chwilą wstąpienia na tron Karola II. Prześladowani i gnębieni schronili się znów w podziemia konspiracji. Mimo tych jednak utrudnień nie dali się zgnębić, rozwinęli nawet silną akcję pomocy dla wygnanych z Polski braci. W tych sprawach bawił w Anglii delegat Braci Polskich Krzysztof Crell-Spinowski, który tu znalazł bardzo życzliwe przyjęcie. Crell nawiązał w Cambridge stosunki w świecie uniwersyteckim, gdzie już przed nim zbierał na kalwinów litewskich delegat ich Kraiński, w Oxfordzie nawiązał wiele kontaktów z wpływowymi osobistościami z świata kościelnego. Crell miał tyle sympatyków osobistych w Anglii, że go namawiano, żeby wrócił do Anglii i osiadł tu na stałe. Pobyt Crella w Anglii był dowodem, że współwyznawcy braci polskich mają w Anglii kilka gmin zorganizowanych z własnymi pastorami, że żywo zareagowali na niedolę wygnanych z Polski braci, dla których zbierali przez kilka lat składki.

Mimo niezwykle surowych kar, jakie poczynając od roku 1664 zaczęły się sypać na antytrynitarzy ze strony władz państwowych i kościelnych propaganda ich przenikała w co raz szersze sfery: ideom antytrynitarskim uległ przywódca kwakrów William Penn, hołdował im wielki poeta John Milton.

DROGI PROPAGANDY BRACI POLSKICH

Wygnani z Polski bracia potrafili w Holandii nawiązać liczne stosunki w świecie protestanckim, stworzyli tu poważny ośrodek wydawniczy, w Amsterdamie zaczyna się wtedy właśnie ukazywać wielkie wydawnictwo "Bibliotheca Fratrum Polonorum," zawierająca pisma najwybitniejszych teoretyków ariańskich. Aby uniknąć groźnej nazwy socynian bracia w Holandii zaczynają używać nazwy unitarian, która natychmiast przyjmie się u ich zwolenników w Anglii. To osiedlenie się braci w Holandii pomnożyło znacznie ilość kontaktów z Anglikami, którzy w tym czasie dość często zjawiali się tu bądź to na studia teologiczne, bądź to jako emigranci polityczni. Unitarianie zyskują niebawem pomoc ze strony największego filozofa angielskiego oświecenia, Johna Locke'a, który nie krył się z sympatiami dla ich ruchu, darzył przyjaźnią ostatniego teologa braci polskich Samuela Crella.

ZNACZENIE IDEOLOGII ARIAN W ŻYCIU RELIGIJNEM ANGLII

Wszystkie te kontakty Braci Polskich z światem religijnej myśli angielskiej dowodzą całkowicie słuszności sądu historyka reformacji, że "angielski unitaryzm XVIII wieku był w znacznej mierze wywołany przez conajmniej pół wieku oddziaływania osobistego i pośredniego ludzi i pism z obozu Braci Polskich." Był to wcale nie małej wagi gatunkowej wkład Polski w sferę angielskiego życia religijnego.

Adam Ordęga

* Por. nr. 25 i 27 "Polski Walczącej."

Generał Sikorski udekorował trzech generałów polskich

Niecodzienna uroczystość odbyła się w ubiegły piątek w jednym z miast szkockich. Tam, na wschodnim wybrzeżu, które dziś jest jednym wielkim odcinkiem bojowym, Naczelny Wódz Armii Polskiej, Generał Władysław Sikorski ozdobił pierś zasłużonych polskich generałów wysokim odznaczeniem wojskowym, Krzyżem Virtuti Militari IV klasy.

Jeśli uprzytomnimy sobie, że w dalekim szkockim mieście, polski Wódz dekorował znakomitych żołnierzy, wsławionych w kampanii polskiej w jesieni ubiegłego roku, francuskiej i norweskiej z wiosny bieżącego roku—to zrozumiemy dopiero symboliczne znaczenie uroczystości i docenimy dopiero wysiłek, jaki Polska podjęła dla wspólnej sprawy Aliantów.

Pierwszy z pośród odznaczonych generałów dowodził sformowaną we Francji I. Dywizją Grenadierów Polskich. Walczyła ona na linii Maginota i poniosła ciężkie straty. Wytrwała na stanowisku aż do końca; nie uległa demoralizacji, której ofiarą padły otaczające ją wojska francuskie. Jeśli dziś z pośród jej oficerów i żołnierzy niewielka tylko ilość znalazła się na ziemi brytyjskiej, to jest to właśnie wynikiem jej bohaterskiego wytrwania na polu walki aż do ostatniej chwili, aż do ostatniego naboju.

Drugi z pośród odznaczonych dowódców dowodził sławną polską Brygadą kawaleryjską, powołującą się na piękną tradycję zwycięstw w poprzednich bojach Polski o niepodległość. Brygada ta, zmotoryzowana, odegrała wielką rolę w kampanii wrześniowej 1939 roku w Polsce. Zmuszona do przekroczenia granicy węgierskiej, uratowała swoje sztandary i niemal cała przedarła się w małych grupach poprzez kilka krajów do Francji, gdzie weszła w skład Armii, tworzonej przez Generała Sikorskiego. W kampanii francuskiej biła się dzielnie tak, że stała się postrachem Niemców, którzy nazywali ją "sławną czarną Brygadą," nadając jej tę nazwę od czarnych, skórzanych kurtek, które nosili jej żołnierze. Obecnie Brygada ta jest częścią składową Armii polskiej na ziemi brytyjskiej. Dekorując w piątek jej Dowódcę, który prowadził te oddziały do bojów w Polsce i we Francji, odznaczył polski Naczelny Wódz Brygadę jeszcze w jeden sposób: nadał jej czarne honorowe naramienniki.

Ostatni z pośród trzech odznaczonych generałów był Dowódcą formacji, szczególnie dobrze znanej w Wielkiej Brytanii, albowiem walczyła ona ramię przy ramieniu z Armią brytyjską. Była to Brygada Strzelców Podhalańskich, wsławiona udziałem kampanii norweskiej, a zwłaszcza w walkach pod Narwik i Ankenes. W lecie bieżącego roku, Generał Sikorski udekorował sztandar tej Brygady Krzyżem Virtuti Militari, teraz ozdobił tym odznaczeniem pierś jej Dowódcy.

Było to święto prawdziwych żołnierzy wolności. Polska orkiestra wojskowa grała w czasie kulminacyjnego punktu uroczystości Hymn polski, będący historycznym hymnem żołnierzy generała Dąbrowskiego, którzy tak, jak obecne wojsko polskie, po klęsce swej ojczyzny, formowali się na obcej ziemi i z Włoch do Polski powrócili, ozdabiając swe sztandary wawrzynem zwycięstwa. Na tych właśnie sztandarach widniał napis: "Wszyscy ludzie wolni są braćmi." Napis ten widnieć mógłby i dziś na sztandarach Armii polskiej, która na tylu polach walki krwawi się, walcząc o wolność swego narodu, i o wolność świata.

Uroczystość, naprawdę podniosła, wywarła zarówno na naszym żołnierzu, jak na gościach angielskich, niezapomniane wrażenie. Z przyczyn od nas niezależnych, musieliśmy się ograniczyć tylko do krótkiej wzmianki w niniejszym numerze "Polski Walczącej." Dokładne omówienie, wraz z przemową Generała Sikorskiego, podamy w najbliższym numerze.

SZKOCJA I SZKOCI

Szkocja, jak to już zaznaczyłem w poprzednich artykułach, jest krajem przeciwieństw. Spotykamy tu obok najbardziej zachowawczego, purytańskiego kalwinizmu zwyczaje pogańskie; starożytności w nowoczesnych miastach; piękne zamki w brudnych, brzydkich i nędznych dzielnicach robotniczych; browary pod murem zamku królewskiego; okolice gęsto zaludnione, uprzemysłowione, wielkie miasta, a o kilkadziesiąt kilometrów zaledwie — dzikie pustkowia, góry niezamieszkałe, malownicze wrzosowiska.

Podobne kontrasty dają się zauważyć i wśród ludności, a zwłaszcza w zwyczajach szkockich. W żyłach tych spokojnych pracowitych, oszczędnych i wysoce cywilizowanych ludzi ciągle jeszcze płynie krew dumnych wojowników i zbójników celtyckich.

Ta romantyczność Szkotów, ich zamiłowanie do tradycji narodowych, do pochodzenia celtyckiego, przebija w utworach poetów i pisarzy szkockich, zwłaszcza XIX-go wieku. Dzisiaj właściwie uczucia te są słabsze, niż kiedykolwiek, choć pewne koła inteligencji szkockiej dążą do wzniecenia ich, a Szkot ma okazje wyrażania swej dumy narodowej już tylko za pośrednictwem swej muzyki, tańca i strojów narodowych.

Muzyka szkocka jest zupełnie inna od muzyki Anglii, czy też narodów kontynentu europejskiego. Jest to muzyka półdzikich górali celtyckich walczących z Rzymianami. Aczkolwiek wielu kompozytorów, swojego czasu nawet Beethoven, pisywało utwory oparte na motywach szkockich i przystosowuje muzykę szkocką do wymogów klasycznych orkiestr symfonicznych, w gruncie jednak rzeczy pieśni, tańce i marsze szkockie najlepiej wychodzą w wykonaniu lub przy akompaniamencie kobzy.

Najstarsze przykłady muzyki szkockiej jakie się zachowały, to t. zw. "*Ossianic chants,*" czyli przyśpiewki do opowiadań o rycerzach i pięknych paniach, ułożone w zamierzchłych czasach przez wędrownych śpiewaków. Są to utwory dla ucha nowoczesnego zupełnie niezrozumiałe, choć niepozbawione pewnego uroku. Ale brak w nich jakiejkolwiek ciągłości, rytmu—są zupełnie nieregularne i jakieś dzikie. Przedstawiają już dzisiaj jedynie wartość historyczną, zabytkową.

Ale z tych typowo celtyckich "zawodzeń" wywiodła się muzyka szkocka, jaką słyszymy dzisiaj. One to właśnie przekształciły się z czasem na dzisiejsze tańce, pieśni i marsze szkockie, odznaczające się charakterystycznym rytmem i skalą dźwięków.

Tańce szkockie, choć bardzo stare, zachowały się w oryginalnej nieskażonej formie i trudno spotkać Szkota lub Szkotkę, nie umiejącą wykonać najbardziej znanych tańców poprawnie i zgodnie z tradycjami. Taniec narodowy jest bowiem dla Szkota symbolem wolności, historii, dawnej świetności oraz umiłowania przyrody, z którą jest ściśle związany.

Z powodu ciągłych inwazji, które groziły stale wyspom brytyjskim, wobec nieustających ataków ze strony to Rzymian, to Duńczyków, to Norwegów, to Anglów lub Sasów, a wreszcie Anglików—Szkoci z konieczności i z zamiłowania stali się narodem wojowników. W duszy pozostali nimi do dziś dnia.

Toteż najbardziej charakterystycznym z pośród tańców szkockich jest t. zw. "*Sword Dance*" czyli "taniec z szablami." Polega on na wykonaniu szeregu skomplikowanych kroków i podskoków nad skrzyżowanymi szablami, leżącymi na ziemi, przy czym wykonowca musi uważać, by przypadkiem nie dotknąć której szabli stopą. W dawnych czasach tańczono "*Sword Dance*" w wilię bitew: dawało to upust zdenerwowaniu, umacniało panowanie nad sobą, a co jest może najważniejsze udzielało wróżby co do wyniku jutrzejszych zmagań. Albowiem jeśli tancerz dotknął stopą szabli, uważano to za zły omen dla niego i dla jego towarzyszy. Tradycja ta zachowała się w dzisiejszych konkursach tanecznych: zawodników, którzy dotkną butem leżącą na ziemi broń—dyskfalifikuje się. "*Sword Dance*" jest tańcem wykonywanym przez jednego tancerza, albo przez paru indywidualnie—nie jest to taniec zespołowy.

Drugim tańcem wojennym jest "*Highland Fling,*" ongiś tańczony w celu wyrażenia radości po zwycięstwie. Jest on bardziej, niż "*Sword Dance*" zbliżony do pozostałych tańców szkockich, pełno w nim bowiem formalistyki i figur. Każda figura, z góry ułożona i przewidziana, musi być wykonana przez zespół dokładnie i ściśle według przepisów—pomyłka lub opuszczenie wywołałoby niezadowolenie wśród widzów, z których każdy jest zazwyczaj doskonałym znawcą tańca. Czytelnicy "Polski Walczącej" już zresztą sami na pewno zauważyli na jak wysokim poziomie stoi w Szkocji sztuka tańczenia.

Zbliżonym do "*Highland Fling*" jest "*Scottish Reel*" (czytaj: rijel). Jest to zresztą taniec najbardziej dzisiaj popularny, i wykonywany na każdym niemal wieczorku, na każdej zabawie, gdzie przecież teraz tańczy się głównie do muzyki jazzowej. Istnieją różne odmiany "*Reel*" *ów*, a więc "*foursome*" (czytaj: forsom), w którym udział biorą dwie pary w każdym zespole (a zespołów może być ilość nieograniczona), "*eightsome*" (czytaj: ejtsom) przy udziale czterech par, i t.d. "*Reel*" składa się z dwóch zasadniczych figur: z podskoków wykonywanych przez jedną osobę, na zmianę, podczas gdy reszta zespołu otacza ją kołem, z ósemek wykonywanych przez tęż osobę w towarzystwie najpierw poszczególnych członków zespołu, a wreszcie całego zespołu. Wszystko to odbywa się z towarzyszeniem dzikich okrzyków i pisków, zagłuszających często nawet i kobzy.

Jedną z licznych odmian "*Reel.*" jest "*Reel of Tulloch.*" Istnieje bardzo zabawna legenda o okolicznościach, w jakich taniec ten powstał. Mianowicie dawno temu, w zimie, mieszkańcy wsi Tulloch którejś niedzieli bardzo długo czekali w kościele na przybycie pastora; ponieważ było bardzo zimno, a pastor ciągle nie przybywał, ktoś z obecnych zaproponował, aby zatańczyć w kościele dla rozgrzewki: jako że w kościele stały ławki trzeba było niektóre figury zmienić i tak powstał "*Reel of Tulloch.*" Istnieje jeszcze cała seria odmian "*Reel,*" jak np. "*Strathspey*" i wiele innych, ale wszystkie oparte są na podobnych zasadach.

Tańce szkockie, jak zresztą i sztuka grania na kobzie, otaczane są szczególnym kultem. Istnieją specjalne towarzystwa nauki i popierania tańców narodowych, które urządzają zabawy taneczne i pokazy, istnieją również związki i stowarzyszenia kobziarzy. Towarzystwa te organizują raz do roku w Edynburgu wielkie bale, na które zjeżdżają się ludzie z całej Szkocji. Najsłynniejszy z tych bali to "*Highland Ball*" (na którym nigdy nie byłem, bo wstęp kosztuje przeszło pięć funtów), oraz bal "*Royal Society of Pipers,*" czyli królewskiego stowarzyszenia kobziarzy.

W roku 1938-ym przyjaciele zaciągnęli mnie na ten bal kobziarzy. Muszę przyznać, że zrobił on na mnie wielkie wrażenie. Przede wszystkim uczestnicy wyglądali tak malowniczo: panie były poubierane w zwykłe co prawda suknie balowe, natomiast każda miała przez ramię przerzuconą wstęgę w kratkę rodzinną; panowie byli wszyscy (za wyjątkiem jednego Amerykanina, jednego Anglika i mnie) w barwnych spódniczkach, pończochach w wielką kratę, krótkich aksamitnych kurteczkach ze srebrnymi guzikami, a przez ramię mieli przewieszone pledy kraciaste Do tańca przygrywały kobzy, wypełniając salę tak głośnymi dźwiękami skocznej melodii, że się aż szyby i żyrandole trzęsły. Pokrzykując i przygwizdując barwni tancerze z niesłychaną biegłością i wprawą, jakgdyby zgrani od lat, wykonywali w podskokach trudne i skomplikowane figury pięknego tańca celtyckich górali—wojaków.

Leszek Meyer

* Por. nr. 27, 28 i 32 "Polski Walczącej."

Premier Wielkiej Brytanii wśród nas





Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill w ostatnich tygodniach dwukrotnie zamanifestował uczucia własne i narodu brytyjskiego do Polaków. Przez usta generała Władysława Sikorskiego przesłał następujące słowa:

"Proszę Pana Generała, by zechciał pozdrowić swych Rodaków i zakomunikować im, że tutaj w Wielkiej Brytanii podziwiamy wszyscy szczerze wspaniałe męstwo Polaków oraz ich niezłomną siłę wytrwania. Stwierdzone zostały one czynami dokonywanymi w warunkach najcięższych. Ich słuszną nagrodą będzie zmartwychwstanie ich Ojczyzny."

W ostatnim tygodniu—właśnie wtedy, gdy Hitler odbywał swoją gorączkową podróż po Europie—Churchill odwiedził pierwsze oddziały wojska polskiego, które objęły służbę na odcinku frontowym w Szkocji. Odwiedziny premiera Wielkiej Brytanii odbyły się w atmosferze najgorętszej sympatii wzajemnej. Churchill, który po polsku wołał do żołnierzy "czołem" stał się jeszcze popularniejszy uśród nas, widomie wciela dla nas wielkość i siłę wspaniałego Sprzymierzeńca—Wielkiej Brytanii.

To Be Sporting . . .

SZKOŁA W GAJU

Sandhurst—(tłumaczono mi, że słowo to oznacza: "gaj na piasku")—jest to wspaniała domena RMC *(Royal Military College)* w hrabstwie Surrey. Ten las mieszany, w dziewiczym niemal stanie, ciągnący się kilkanaście mil wszerz i wzdłuż, podszyty wiecznie zielonymi mchami, kędzierzawą runią wrzosowisk, pokrywający płaskowzgórza, zniżający się ku stromym urwiskom—sprawia zaistę imponujące wrażenie.

W jego bliższym sąsiedztwie, niemal u progu, rozsiadła się królewska Szkoła Wojenna z swymi monumentalnymi gmachami, barakami (strzelnice, kasyna, pływalnie), oraz nieprzeliczonymi kortami i boiskami. I jeziorem, pysznym, rozlewnym, sino-zielonym, którego nieoczekiwana obecność w tym lesie sprawia tym większą radość.

R.M.C.—została powołana do życia w r. 1812, dla "gentlemen-cadets" (600-700) i wzorowana na urządzeniach podobnych wyższych uczelni wojskowych, jak np. St. Cyr (Francja) i West Point (Ameryka). Wzniesiona z iście angielskim rozmachem, w miejscowości wymarzonej do ćwiczeń kawalerii i piechoty, otoczona pieczą rządu i społeczeństwa—stanowi idealny *home-school* (domszkołę) dla młodzieży brytyjskiej.

Z tej szkoły wyszedł obecny premier Winston Churchill.

Przyjmowani tu są przede wszystkim synowie oficerów i zasłużonych żołnierzy angielskich, włącznie do kolorowych obywateli Wielkiej Brytanii (Hindusi, Egipcjanie)—po ukończeniu zakładów średnich. Cudzoziemcy nie mają prawa do studiów w College.

Kurs przeszkolenia trwa rok i sześć miesięcy. Zakończenie studiów każdego rocznika odbywa się uroczyście: zjeżdża zazwyczaj któryś z książąt domu panującego, generalicja, rodziny kadetów. Po egzaminach, szeregu match'ów (ilość wygranych game'ów wchodzi do kursu, jako "przedmioty obowiązujące")—następuje popis marszu posuwistego (sztuki, którą musi opanować każdy wychowanek R.M.C. bez zarzutu), oraz wręczenie *Sword of Honour*, szabli honorowej, najbardziej wzorowemu pupilowi college. W wypadku tego wyróżnienia brane są pod uwagę nie tylko celujące stopnie delikwenta, lecz jego charakter, sposób zachowania, postawa gentlemana.

W tym "gaju na piasku" spędziłam przed paru laty przemiłe wakacje będąc spokrewnioną z jednym z instruktorów college. Mimo woli zostałam wciągnięta w orbitę toczącego się tu bujnego, młodego życia, jego blasków i cieni.

CODZIENNE ŻYCIE SZKOŁY

Ranny capstrzyk, spędzał nam sen z oczu, budząc do dnia pokratkowanego pracą i ćwiczeniami na świeżym powietrzu, deszcz—nie deszcz—do południa życie college toczyło się daleko od uroczych will, zamieszkałych przez rodziny profesorów,—wsiąkało w mury kazamatu, lub przenosiło się na pagóry i urwiska w głąb lasu. Ale po pobudce, która brzmiała:—"wszyscy do kuchni, wszyscy do kotłów"!—po błyskawicznym skonsumowaniu zawartości tych kotłów i przebraniu się w białe flanele—następował istotny *number* programu na każdy dzień powszechni. Sporty! i jeszcze raz sporty!! Zdawało mi się nieraz, laikowi, że wszytkie inne przedmioty wykładowe wchodzące w zakres nauczania tej wyższej uczelni wojskowej są w ogóle nieważne, wobec tych nieprzeliczonych pojedynków na placach sportowych, o każdej porze roku innych. Latem więc tennis i cricket. Niech broń Boże kto nie pomyśli, że jest to dziecinny i niewinny krokiet, tak modny, za czasów naszego dzieciństwa w Polsce.

Cricket—narodowy *game* Australijczyków, zupełnie nie spopularyzowany na kontynencie, wymagający siły i celnego oka, game wyłącznie dla mężczyzn, zajmuje u młodzieży brytyjskiej czołowe stanowisko. Bledną wobec niego mecze foot-ball'owe i hockey'owe (na trawie) zapasy zimowe; niczym staje się nawet boks, polo, sport pływacki, nie mówię już o skakaniu o tyczce czy biegach do mety. Zmuszono i mnie do szacunku do cricketu—którego jedna partia trwać może dobę, dwie, trzy. . . . Być kapitanem cricketu—to zaszczyt tak wielki, że aż mąci się w głowie. To bohater lokalny, któremu wszystko będzie szło jak z płatka, to ulubieniec kobiet i bogów. Chyba dosyć?

Co dnia mieliśmy w college inne sportowe zapasy, co dnia inne sensacje. Chcąc nie chcąc musiałam być zarażona i ja, panującym tu "morowym powietrzem," musiałam jako widz i niepowołany sędzia—reprezentować t. zw. opinię publiczną. Musiałam. Tego bowiem wymagał od nas, *ladies*, regulamin szkoły. Żony, córki i krewniaczki profesorów—musiały zasiadać na skleconych z drzewa trybunach, ewentualnie w namiotach, gdy wypadało, by swą obecnością, wyrażaną pochwałą, lub szmerem nagany—dopingować "gentlemen-cadets" do wysiłku na placach, przymusić ich do poprawności zachowania się, no i zapewne wysławiania.

Współżycie ciała profesorskiego z wychowankami R.M.C. godne jak największego uznania, dyscyplina obowiązująca w murach uczelni, podczas ćwiczeń i marszów—ulatnia się niczem kamfora, gdy się wszyscy spotykają razem na placach, gdy kadeci biją nieraz na głowę instruktorów, w tenisa czy hockeya. Gdy zapraszani są do domów prywatnych generalicji na podwieczorki, tańcówki i pikniki.

HODOWLA GENTELMANA

Z niemałą dozą pobłażliwości traktowałam na razie ten cały kult ćwiczeń cielesnych, nie wierząc w ogóle, że chodzi tu również o . . . zaprawę ducha! Na moich oczach rozegrała się jednak niejedna scena prostowania "rogatej duszy," która znalazła się właśnie we władzy samolubstwa, zawiści, zachłannej ambicji—w trakcie walki na śmierć i życie. Wszelki odruch podobnego nastawienia tępiony był tu bezlitośnie, publicznie. Słyszę nieraz, że klimat angielski sprzyja doskonale zanikaniu pasji w człowieku. Nie wiem, czy wpływa na to klimat czy odpowiedni trening. Przekonałam się, że sporty angielskie stają się do pewnego stopnia kuźnią charakterów, i nigdzie to zjawisko nie rzucało się bardziej w oczy, jak właśnie w ośrodkach młodzieży.

Wychowankowie R.C.M. posiadali całą litanię okrutnych iście przepisów, stosowanych samorzutnie, gdy chodziło o wyplenienie spośród siebie "wrednych typów": lizusów, sobków, donosicieli itd. Że wspomnę, wobec braku miejsca, bodaj o jednym obyczaju, noszącym nazwę—"rytuał oczyszczenia," o którym na samą myśl robiło mi się zimno. Polegał na tym, że zaobserwowanego przestępcę, zwabiano niewinnie do jeziora, do zacisznego kątka tego pięknego jeziora, gdzie głębia była dość pokaźna, a krzaki nadbrzeżne gęste,—rozbierano go do naga i przy odpowiednich wrzaskach wrzucano do wody, umiał pływać czy nie. Dodajmy do tego, że dzień wybierano chłodny, mokry, portki winowajcy ukrywano w krzakach,—tak że gdy ostatecznie wygramolił się z wody,—odsiadywać musiał kozę, za nieprzystojne paradowanie w stroju adamowym przez całe terytorium college.

O innych samosądach kadetów w Sandhurst pisać nie będę, dowodzono mi jednak, że wpływ ich dawał zbawienne skutki. Tak czy owak "gentlemen cadets," po opuszczeniu uczelni wiedzieli dobrze, co to być *sporting*!

To be sporting—nie oznacza bynajmniej być zamiłowanym w sportach, lub bodaj być wysportowanym na schwał. W króciutkim tym słowie, zawarte są niby w czarodziejskim zaklęciu, najwznioślejsze cechy gentlemena. A więc—umiejętność trzymania na wodzy swych namiętności, wyrzeczenie się ambicyjek osobistych dla dobra ogółu (w tym wypadku kompanii, drużyny sportowej, klubu itd.), poskromienie zawiści, przyjście z pomocą słabemu i, i . . . pojednanie się z wrogiem po pokonaniu go! Jest to zacięcie typowo sportowe: podanie ręki wczorajszemu nieprzyjacielowi, o ile oczywiście ma się nad nim przewagę.—"*You are very sporting*"—to wielki komplement, którym młodzież angielska nie szafuje.

HINDUSKA REPLIKA "SZKOŁY W GAJU"

Z "gaju na piasku," z Sandhurst, przenieśmy się na moment do Indyj brytyjskich, do miejscowości podhimalajskiej, zdrowotnej, położonej przy pasie podgórskim, w sąsiedztwie dżungli. Ale niby dlaczego? Bo właśnie tam, w pysznie zalesionej dolinie, Dehra-Dun, powstała w r. 1933 siostrzyca R.M.C. Przekształcona na "*Indian Military Academy*"—również dla "gentlemen-cadets," ale miejscowego pochodzenia.

Niech nikt nie posądza mnie o jakieś przechwałki, nie moja to zresztą zasługa, że będąc spokrewniona z instruktorem R.M.C. pojechałam do Indyj, skoro cały dom się tam przeniósł. I trafiłam na okres rozbudowy na wielką skalę I.M.A. (rok 1934-35).

Do otwarcia na ziemiach hinduskich wyższej uczelni wojskowej przyczyniło się wiele ważkich racyj, między innymi konieczność czysto praktyczna: wysyłanie młodzieży hinduskiej na kilkuletnie kształcenie (wojskowe) do Anglii było kosztowne, połączone z trudnościami, które przeszkadzały raczej niż pomagały w szkoleniu: odrębności klimatu, obyczajów, sprawności fizycznej itd. Była to na razie próba, powiodła się jednak znakomicie. . . . Już w drugim roku istnienia Akademii przebywało w jej murach 300 wychowanków (obecnie jest z górą 500). Hindusi, wśród których kastowość i pochodzenie odgrywa tak ważną rolę—mają swe tradycyjne obyczaje, kucharzy i praktyki religijne na miejscu. Do tych "domowych spraw," Anglicy wcale się nie mieszają. Poza tym obowiązuje tu ta sama dyscyplina, ten sam program (kurs trwa jednak dwa lata), te same ćwiczenia wojskowe i sportowe. Hindusi, zwinni i szybcy, celują zwłaszcza w hockeyu i grze w polo, pasjami lubią sport pływacki. Cricket—jest mniej faworyzowany.

MYŚLIWSKIE UROKI

Jeżeli w Sandhurst, w "gaju na piasku"—gentlemen-cadets podczas ćwiczeń, płoszyli w zagajnikach domorosłe zające, dzikie króle, zawieruszone tu kuropatwy czy bażanty, a szczytem marzeń każdego młodzika był "hunting" czyli polowanie na lisy z ogarami—tu, w dolinie Dehra-Dunu, w najbliższym sąsiedztwie z dżunglą podhimalajską, młódź hinduska czyniła popłoch wśród zadomowionych szakali. Małpie plemię zaintrygowane harcami chłopców w lesie, stawało niemal z nimi do zapasów, a dzikie, rozpanoszone pawie wrzaskiem swym starały się zgłuszyć rozkazy komendy dawanej przez sierżanta. "Szikari" zaś, najprawdziwsze Szikari (polowanie po hindusku) na tygrysa, na panterę czy jakąś inną dziką bestię—musiało być w nagrodę za wzorowe zachowanie i mozolne ćwiczenia tych czekoladowych "gentlemen-cadets."

Indian Military Academy, przyjmuje jednak pupilów po zastosowaniu gęstego sita; pierwszeństwo mają obywatele anglo-hinduskiego pochodzenia, dzieci wojskowych,—koszta zresztą tego wyższego kształcenia w Indiach są tak wysokie, że mogą sobie na te zbytki pozwolić sfery bardzo zamożne. Nierzadko więc wychowankowie I.M.A. posiadają własne wierzchowce i własną służbę.

Atmosfera w Akademii pomiędzy ciałem wychowawczym a "gentlemen-cadets" mimo lekkiego odcienia konwencjonalności—panuje na ogół również ciepła, jak w Sandhurst. Instruktorom Anglikom chodzi bardzo o pozyskanie sympatyj kolorowych wychowanków, tym ostatnim, o zasłużenie na pochwałę. Wyczuwa się na każdym kroku dążenie do wzajemnej uprzejmości.

Kolorowi kadeci w I.M.A. są, jak mi mówiono, niemal bez zarzutu, daleko mniej psocą od swych białolicych rówieśników, i nie można ich odciągnąć od książki,—w Sandhurst trzeba napędzać. Ale, lubiący żartować Anglosasi skarżą się, że Hindusi absolutnie nie rozumieją konceptów i żartów w życiu koleżeńskim, obrażają się,

"Zupełnie tak samo, jak wy Polacy!"—powiedział mi któregoś dnia jeden z wychowawców. A może właśnie żartował?
krzywią.

Hanna Skarbek Peretiatkowicz

ABC angielsko — polskie



Korespondencja angielska. Na innym miejscu (pod: "Adresy") zdradzamy kopertowe tajemnice Miss Lulu i innych pań i panów. Tu zwrócimy uwagę na najważniejsze cechy charakterystyczne listu angielskiego. Przede wszystkim—nie ma powodu do radości, jeśli jakaś sympatyczna osoba płci odmiennej po bardzo krótkiej znajomości nazwie was w liście "Dear Sir" (*Dear Sir*, a nie: *Dear Mister*! I—bez wykrzyknika, bo to uchodzi za germanizm . . .)—jeśli więc was ktoś nazwie od razu "*Dear Sir*, lub *Dear Miss* (drogi panie, droga pani)—to nie ma powodu do zarozumiałości. Tu nie idzie o wartościowanie, lecz o obyczaj. *Dear Sir* to: "Szanowny Panie," a nie "drogi." Taka dewaluacja. Zato "ja," angielskie *I*, pisze się dużą literą, nawet w środku zdania. Dlaczego dużą? Na to pytanie też mi dotąd nikt nie umiał odpowiedzieć. Spostrzegam, że niepotrzebnie zacząłem z tą korespondencją, bo niewiele zmieszczę. Pośpieszam jednak uprzedzić, że Anglicy zamiast jedynki stawiają pałkę bez żadnych haczyków, tak, że pięknie wykaligrafowaną polską jedynkę wezmą za siódemkę. My zaś, przeciwnie, ich siódemkę bez wysiłku odcyfrujemy jako jedynkę. Od datowania przeskoczmy do innej bolączki: zdania końcowego w liście. Anglik jak i Francuz, powtarza w zakończeniu tytuł początkowy (jest tych tytułów spora ilość). Nauczono mnie natomiast, że w przeciwieństwie do francuskich zawiłości odpowiednio grzecznego zakończenia listu, w angielskim wystarczy zapamiętać parę form: *Yours sincerely*—"wasz szczery" w listach do znajomych kobiet i mężczyzn. Do nieznanych bliżej: *Yours truly*—"Wasz wierny." Niech i tak będzie. W listach oficjalnych oschłych, handlowych: *Yours faithfully*. Wyrażenie przepełnione teoretyczną wiernością. . . . Można też napisać: *with love*—lecz nie do zwierzchnika, ani do dostawcy, ani do przyjaciela . . . . Raczej do przyjaciółki.

Powitanie—oto też sprawa dla Polaka w Anglii! Wyciąga do znajomego Anglika uprzejmie



łapę na powitanie, a tamten skłania mu się chłodno, nie wyjmując rąk z kieszeni. W Polaku zagotowała się krew. Zamierzał sięgnąć po rapier swych przodków, podczas gdy wystarczyło by wziąć do ręki angielski kodeks nie honorowy, ale salonowy: Anglicy rzadko kiedy podają sobie rękę, chyba przed dłuższą rozłąką, lub po powrocie z podróży. Nie zmniejsza to serdeczności ich stosunków.

Inne źródło nieporozumień: kłania się Polak damie angielskiej, a tu udaje że go nie widzi; a to znowu, przeciwnie, ona kłania mu się pierwszą—czyż to nie powód do zarozumiałości Don Juana? To przyczyniło się wiele ważkich tylko zwyczaj: dama kłania się pierwsza, by tym zadokumentować, że spotkany jej, powiedzmy, nie kompromituje. Zresztą: obserwujmy! Anglik nie szurga nogami, nie uderza obcasami, nie kłania się w pas, nie całuje rączek, zwłaszcza w przejściu. . . . Prezentacja angielska też daje pole do nieporozumień: zapoznaje was ktoś z Anglikiem, ów wyciąga rękę albo nie i mówi: "How do you do?"—akurat tak, jak gdyby był waszym dawnym znajomym i widział was dopiero co wczoraj. Bo "How do you do you" odpowiada polskiemu: jak się pan ma? co słychać?—Więc uprzejmie lecz bezcelowo odpowiadacie, że się macie dobrze, choć spaliście niekoniecznie, zaś zęby. . . . Anglik słucha, i jeżeli zrozumiał, to się znowu dziwi, gdyż należało odpowiedzieć tak samo: "How do you do?" i sprawa załatwiona.

Schron dla zwierząt—to chyba nowość wybitnie angielska, ponowny przykład, jak bardzo Anglicy lubią zwierzęta. Istnieją w Londynie i w innych miastach angielskich specjalne schrony, w których można lokować koty i psy, istnieją oddzielne "sheltery" dla koni, nie parowych oczywiście, bo te podlegają innej opiece. Co się w takim psim shelterze dzieje, nie wiem—bo nie chciano mnie wpuścić. . . . Po-



wiedziano mi, że miejsca są rezerwowane. . . . Ale na temat psiej muzyki w czasie alarmów lotniczych, dowiedziałem się, że każdy szanujący się właściciel (a tym bardziej: właścicielka) psa zaopatruje się w specjalne środki uspakajające. Apteki angielskie wprowadziły nawet dział środków uspokajających dla zwierząt. Niezależnie od tego towarzystwa opieki nad zwierzętami prowadzą specjalną akcję na czas wojny; można mianowicie zarejestrować każdego psa i kota, i uzyskać dla nich medalioniki numerowane, ułatwiające ulokowanie zagubionych w razie bombardowania zwierząt w przytułkach, gdzie można je następnie podług numeru medalionu łatwiej odnaleść, napewno nakarmione, uspokojone, wyspane. Niejeden Niemiec pragnąłby zapewne być psem angielskim. . . . Tyle o psach, kotach, koniach.

Zygmunt Frenkiel
Rysunki Tefa

Z życia obozów

Zygmunt Nowakowski w obozie

Monotonne jest życie obozowe. W służbie żołnierskiej tylko ustawiczny kalejdoskop zajęć—wnosi odmianę wśród dni, przepływających niezmiennie pod szkockim niebem, przy siąpaniu "szkociaka" (deszcz tuziemczy), w tęsknocie za krajem, za swoimi.

Wsłuchujemy się w odgłosy wojny czym tylko jesteśmy w stanie. Radio. Prasa polska. Prasa angielska. Intuicja, wyostrzona odludziem, i w wielu wypadkach jednakowoż trafna.

Gości witamy sercem. Gości słuchamy. Przynoszą nam do obozowego partykularza szersze spojrzenie na wszelkie sprawy. Przy braku książek, w potopie najzwyczajniejszej regularności obozowego życia—gość jest zjawiskiem. Zwłaszcza, jeśli, co ciekawego i pożytecznego powie.

Rano w sobotę dowiadujemy się, że przyjedzie Zygmunt Nowakowski. Świetnego pisarza każdy z nas zna. Jeżeli nawet nie osobiście—to poprzez książki. Również poprzez jego tak żywe i śmiałe coniedzielne felietony w Kurierku Krakowskim, zwanym popularnie "Ikacem."

Choć kapitan na zbiórce popołudniowej nie nakłada przymusu uczestnictwa na odczycie Zygmunta Nowakowskiego — o dziwo, nie ma zawodowych dekowników.

—Proszę, kto chce, może nie być. Ja znam Nowakowskiego jeszcze z Polski. Mówi pięknie i mądrze. Ale kto nie chce słuchać—może nie iść. Nie nakładam przymusu. Kto nie chce iść na odczyt doktora Nowakowskiego—wystąp. . .?

Nie występuje nikt. A przecież każdy mógłby się przez te kwadranse bezmyślnie pobyczyć na namiotowych kocach.

W ogromnym białym namiocie schodzą się kompanie. Niejedna nawet biegiem "maratońskim" zdobywa siedzące miejsca. Siedzą i stoją pospołu: zadziorne karabiniarze, potulne, usłuchane "zające," i obrotniaki "dojedzeniowcy." Naraz gwar cichnie.

—Baczność!

Wszyscy wstają. Idzie pułkownik, taki nasz obozowy Wołodyjowski, czuwający na Olimpie, i baczny czy mu zasię kaemy dobrze spać chodzą. Majory, kapitany. . . A wśród tego wodzostwa siwy pan o bystrej twarzy w okularach, żywy w spojrzeniu a powściągliwy w gestach.

Cisza.

—Starszy felietonista z cenzusem, doktór Zygmunt Nowakowski przedstawiam się. . .

—O Jezu, tyż z "jenzusem"—jęknął po wileńsku kochany nasz "podchorąży Mielko," co całą kampanię francuską dziarsko przebył w drużynie administracyjnej Szkoły Podchorążych Piechoty.

Wielka biała świetlica. Wiatr szkocki, juści góralski wiater, wyczynia istne figle z płachtami namiotowymi i kocami. Nawet z rysunkami tu ódzie porozwieszanymi.

Zygmunt Nowakowski rozpoczął opowieść o swej podróży do Ameryki, zapowiadając, że następnym razem będzie mówił o tym, co jest w kraju. I rozsnuła się barwna, doskonała, szeroko i gęsto przetkana rodzynkami anegdoty—opowieść na temat naszej emigracji amerykańskiej. Ciekawe szczegóły życia. Stopień związania z polskością. Układ wzajemnych stosunków społecznych w łonie emigracji. I to, co Polonię amerykańską prawdziwie najszczerzej elektryzuje: żołnierz polski. Wspomniał Nowakowski o tym, jak wznosiła się temperatura jego odczytów w Ameryce, kiedy mówił o nas, o tułaczych żołnierzach Rzeczypospolitej Polskiej.

Prawda. Ten i ów zdobył obsadzone najazdem nasze górskie ostępy i granice. Szedł długo i rozmaicie do Francji. Wiele we Francji przeżył, przecierpiał i walczył. Niektórzy byli aż w Norwegii. Są tacy, co przebywali nawet we Francji okupowanej, a już są z nami. Wszakże nikt nie zdawał sobie sprawy, że jego wysiłek, który on, żołnierz Polski przede wszystkim o wolność własną walczącej traktuje jako obowiązek patriotyczny, obywatelski, rodzinny, własny ludzki—jest gdzieś, w rzetelnie nieznanej stronie z takim instynktownym pietyzmem i wzruszeniem oceniany.

Myślimy sobie: jak odwróci się karta dziejów, jaki to wspaniały wyjdzie żołnierz z szeregów Polonii amerykańskiej.

Dźwięczą w uszach słowa prelegenta:

—Panowie, jeszcze będziecie musztrowali amerykańskiego rekruta!

Podchwytujemy w myślach wszyscy razem: aby jak najprędzej, co daj Boże, Amen.

W pewnym momencie prysł nastrój milczącego skupienia i zasłuchania. Burza oklasków przetoczyła się, jakiej może płótniana świetlica nie pamięta. Kiedy nasz, świetnie referujący swój przedmiot, Drogi Gość wspomniał o zapłacie, jaką winniśmy wrogowi. Lotnicy tę zapłatę już uskuteczniają. My, karabiniarze, jeszcze czekamy chwili. Kiedy właśnie Zygmunt Nowakowski wspomniał o tej zapłacie, która musi być sumiennym wyrównaniem dziejowego rachunku z Niemcami za wszystkie krzywdy, zbrodnie, niewole, najazdy, złodziejstwa i łotrowstwa—wybuchł tak potężny grzmot oklasków, że trudno to należycie opisać. To nie ręce żołnierskie biły brawo mówcy. To gromko stukały serca, z których każde ma z niemieckim plemieniem bandytów coś do wyrównania.

A kiedy Zygmunt Nowakowski mówił o tym, że my, wojsko, jesteśmy jedyną na emigracji Polską—to jak najgłębiej nas przejęło owe proste zwrócenie uwagi na rzeczywistość. Istotnie. Emigracja cywilna żyje w obcych miastach. Wśród obcych ludzi. A my w kupie, w żołnierskiej gromadzie. Po polsku. I, gdyby nie szkocki wiatr oraz błotna chlapanina; gdyby nie ten krajobraz pozaobozowy; no. . . i gdyby nie ta dławiąca za gardło tęsknota—to przecież nie czulibyśmy wcale, że przebywamy na ziemi obcej.

Zakończył Zygmunt Nowakowski swe przemówienie inwokacją do jedyności, do wyjątkowości, naszej polskiej ziemi. Zakończył prostym, modlitewnym, a tak nam odpowiadającym słowem: "Amen"!

Po ostatnich wywodach Nowakowskiego znieruchomieliśmy w zamyśleniu jakby po serdecznej, z głębi ducha płynącej modlitwie, aby Najwyższy przywrócił nam utracony kraj i wolność tego jedynego na świecie kraju polskiego.

Z kilkuset piersi wydarła się burza śpiewająca, w której biły pioruny naszej żołnierskiej woli i tęsknoty, pasji i nienawiści: "Jeszcze Polska nie zginęła. . ."

A potem, potem chwilę, w cieniu starych szkockich drzew taka luźna pogawędka z prelegentem. Skromne prośby, aby częściej do nas zaglądał. Porucznik D, zwany przez nas dla swej oryginalnej dykcji "Połucznikiem" zwrócił uwagę doktora Nowakowskiego na usterki radia, które jest niby naszym towarzyszem, a takim niekompletnym i skąpym towarzyszem. Posypały się inne postulaty. O ciotkach nawet i wujach. Szybko zbiegł czas na niefrasobliwej rozmowie ze wspaniałym pisarzem.

I Zygmunt Nowakowski opuścił gościnne błocko naszego w Szkocji północnej obozu.

Wawrzyniec Czereśniewski

Humor i sentymenty

Leśni ludzie mają także swój humorek. A jakże! Bo to, że się w lesie ciągle siedzi na podobieństwo małpostworów przecież nam jeszcze pretensji do człowieczeństwa z kretesem nie odebrało. I w myśl zasady kartezjańskiej "myślę, więc jestem" każdy z nas leśnych ludzi (nie mieszać z "leśnymi dziadkami," bo mógłby zaistnieć "moment obrazy")—więc każdy z nas leśnych coś-niecoś jeszcze "myśli," zdaje sobie sprawę ze swego człowieczego istnienia. Ba, czasem nie tylko myśli, ale i przewiduje! Przychodzi ci taki jeden do namiotu w szkocką kratę deszczem siekanego i zaraz do mnie:

— "Wiesz co?!"

— "Nie wiem i wiedzieć nie chcę"—odpowiadam.

— "Jak nie chcesz wiedzieć, to ci powiem, bo mam wielką nowinę. Wyjeżdżamy stąd do kwater na mieście! Mówił mi jeden goniec, co nosił takie pisemko z dowództwa obozu!"

— "Znasz kawał o mieście Łodzi?" — pytam — "Łudź się łudź taki-owaki, że wyjeżdżamy do ciepłych kwater!"

A z tymi kwaterami to rzeczywiście bieda. Namiot . . . a jakże, dobra rzecz na week-end. Hm . . . nieźle . . . Albo dla harcerzy — ognisko — piosenki —tak: czerwiec, lipiec, sierpień—wrzesień gorzej, a już październik! . . . A no nic. Wytrzymało się tyle, to wytrzyma się jeszcze.

Powoli jeden z drugim zapomina jak "prawdziwy" dom wygląda. Lecz to wszystko "idzie" u nas na wesoło. Przychodzi przepustkowicz z dwudniowego pobytu w gościnie u przemiłych Szkotów w jednym z miasteczek "gdzieś" w Anglii, i tak gada:

— "A wiecie wy, że niektórzy ludziska to nawet nie w takich, jak my namiotach mieszkają, a w duuużych! A płótno w tych namiotach twarde, jak kamień a grube—o, jak ta sosna! Oni to nawet nie "namiot," ale "dom" nazywają. A kawę i herbatę to piją z takich małych menażek, które oni nazywają po szkocku *the glass*—szklanka . . . a fasują tyle na kolację, że zjeść nie można—tyle tego! Czego tam nie ma! Masło, chleb, ciastka, jam—dużo, dużo fasują. Na prawdę, jak Boga mego kocham! . . . A kiedy się najadłem, to spałem na takiej wygodnej pryczy, że nawet pan kapitan takiej nie ma w swoim namiocie. Koc też tam inaczej wygląda i inaczej się nazywa—kołdra."

—"Nie może być!"—odpowiadamy z udanym niedowierzaniem, a jeden z załogi "wigwamu" (doktór jakichś tam cywilnych nauk—w wojsku oferma) smętnie zwiesiwszy głowę tak:

—"A ja myślę, że Franek (niby przepustkowicz) mówi prawdę. Bo mnie to jak przez mgłę przypominają się te rzeczy, o których opowiada. . . . Tak, kiedyś i ja mieszkałem w prawdziwym domu, nie w lesie. W swoim domu. . . ."

Smutkiem powiało po namiocie. Ot, taka głupia, niby poważna rozmowa, żeby się pośmiać, a i z niej wyłazi, niby szydło z worka tęsknota, wieczna tęsknota tułacza za domem. Swoim domem.

Otrząsam się z zamyślenia.

—"Idziesz do kantyny?"—pytam któregoś—"Mam jeszcze trzy i pół "rudego" (tak tu nazywamy pensy), kupię czekoladkę i pudełko zapałek do twoich papierosów, którymi mnie poczęstujesz."

Namiot świetlicy—kantyny to zbawienie w chwilach wolnych od codziennych zajęć. Leci tam czas szybciej, niż w namiocie—przy szachach, warcabach, układance czy innej "grze towarzyskiej." Co prawda świetlica bywa czasem terenem innych, mniej "towarzyskich gier."

Niedawno, do świetlicy, do której uczęszczają gremialnie pancerniacy "prawdziwi" i pancerniacy "kawalerzyści" z pod znaku konia, co to teraz do pancernych zaliczeni—wchodzi sobie kawaleryjskim krokiem gentelman "od owsa." Na jego widok już mu taki jeden "towarzysz pancerny" od tanków jak nie zarży: Hi, ha, ha, ha, ha. . . .

Nie wiele myśląc, kawalerzysta, jak go nie wyrżnie pięścią w bok. . . .

—"Masz! Koń cię kopnął!"—oświadczył ku ogólnej uciesze.

Jak już mowa o koniach zbrodnią było by, będąc w Szkocji nie wspomnieć o baranach. Barany—małe, duże, czarne, białe plączą się tu niezliczonymi stadami. Beczą po górach i dolinach na wszystkie możliwe tony beków dniem i nocą. Specjalną do nich antypatią pała jeden z moich kolegów, który z powodu takiego długowełnistego huncfota ośmieszył się wobec całej kompanii. Nawet "baranobójcą" go przezwano. Ale to był głupi. Nie trzeba było "kłapaczowi," największemu plotkarzowi kompanijnemu opowiadać o swojej nocnej przygodzie.

A było to tak. Stoi sobie "baranobójca" na warcie. Raczej nie stoi ale chodzi, chodzi i myśli nad tym, kiedy to się to chodzenie skończy.

Noc ciemna—pokapuje szkocki deszczyk. Raptem widzi jakąś białą plamę, która sunie ku niemu z pola.

—"Stój! Kto idzie!" wrzeszczy.

Stanął . . . nie porusza się. . . .

—"Podejść bliżej dla podania hasła!"

. . . i nic . . . Jak stanął tak stoi. . . .

—"Podejść bliżej, bo strzelam!" wrzeszczy już mocno zdenerwowany mierząc w kierunku intruza i raptem: "Mmmee . . ." beczenie. Baran! Psia krew! Autentyczny szkocki baran "w karakuły rżnięty," jakby po warszawsku kto chciał powiedzieć, po "wiechowsku."

Coprawda poco tu sięgać aż do Wiecha kiedy najróżniejszych powiedzonek i przezwisk mamy tu co niemiara autentycznego, obozowego wyrobu—"made in Scotland." Tylko, że przeważnie niecenzuralne, nie do druku.



Zwłaszcza przezwisk "jak na . . ." (o, już mnie poniosło!) Ten się nazywa "Sroka," ten znów "krasnoludek," tamten "Kwadraciok" . . .

A i mnie też ochrzczono zmieniając moje nazwisko z Piekarskiego na Pisarski—że to niby mam wieczne pióro, którego używam nie tylko do podpisywania listy żołdu.

Kiedym przyszedł do kompanii rozeszła się fama, że liznąłem kiedyś coś-niecoś angielskiego i teraz co dnia sypią się zamówienia na listy:

"Musisz mi dziś napisać piękny list do jednej cudownej Szkotki" (tu oczy w górę i mlasnięcie językiem co ma oznaczać najlepsze z najlepszego).

—"Treść?"—sam wiesz jaka treść—tak jak ostatnio pisałeś do Doris. Bardzo kocham, tęsknię niezmiernie i jak tylko będę mógł przyjadę, żeby znów zobaczyć."

—List Nr. 16 decyduję i wyciągam z podręcznej kartoteki jeden z 24 wzorów opracowanych (niezbyt niepokalaną angielszczyzną) przeze mnie dla użytku kompanijnych Don Juanów.

Boże! Ileż to już listów o miłości, tęsknocie, ileż listów pachnących najpiękniejszym kwiatem młodego uczucia wypisało moje pióro kiepską angielszczyzną. O najprzeróżniejsze Betty, Doris, Lotti, Jane nie miejcież mi za złe błędów ortografii i stylu angielszczyzny mojej, bo listy któreście otrzymały nie moje pióro, lecz serca polskich chłopców pisały.

Zresztą, jestem niemal pewny, że w listach tych nie widziałyście ani błędów ani chropowatości stylu—tylko rozmarzone oczy chłopca Jasia, Kazika, Władka, czy Franka co wam się od pierwszego spotkania zwierzał ze swoich uczuć między-narodowym językiem gestykulacji i płomiennych spojrzeń.

* * *

I tak się plecie humor z sentymentem w tym naszym namiotowym, podszytym deszczem i wichurą życiu. Jakoś nikt nie narzeka, nikt nie złorzeczy na swój twardy los żołnierski. Tylko czasem, wieczorem, gdy wiatr rozhuśta gałęzie drzew, kiedy milczenie zalegnie gwarne i roześmiane za dnia namioty-zakutany w pledy do snu żołnierz trąci kolegę z lewa czy prawa i tak do niego:

"Ty! . . . kiedy wrócimy do Polski?" . . .

Bolesław K. Piekarski

NACISK NIEMIEC NA FRANCJĘ

Przez cały ostatni tydzień mówiono—o wojnie francusko-angielskiej. Wygląda to na straszny paradoks, nie mniej jednak tego rodzaju pogłoski nie były pozbawione podstaw. Na "rząd" w Vichy szedł ogromny nacisk ze strony Berlina, aby Francja zaznaczyła w sposób jak najbardziej czynny swą lojalność wobec "osi." Jednocześnie Führer nie mógł odmówić sobie przyjemności największego upokorzenia zwycięzcy z pod Verdun, proponując mu już całkiem jawną zdradę Anglii i państw z nią sprzymierzonych.

Gdyby rząd w Vichy poszedł na tego rodzaju kombinacje, powtórzałaby się jedynie karta historii z okresu wojen nalopeońskich, a mianowicie największego tryumfu Cesarza. W roku 1812 z armią Napoleona szły Prusy i nawet świeżo pokonana pod Wagram Austria. Korpus ekspedycyjny ks. Szwarcenberga stanowił składową część armii napoleońskiej i operował na południu. Wiadomo z dziejów kampanii rosyjskiej, jak się zakończyło to pod grozą zajęcia Wiednia zmontowane przymierze: armia austriacka zwróciła się przeciw Napoleonowi z chwilą, kiedy pó bitwie nad Berezyną zachwiała się potęga cesarza Francji.

Ale rząd w Vichy zdołał się uchronić od nowej wojny. Prawdopodobnie dlatego, że wówczas straciłby całą rację bytu, nie tylko jako pewnego rodzaju przedstawicielstwo Francji, *ale przede wszystkiem jako narzędzie w ręku Hitlera.* Klasy, rządzące dotychczas Francją—wielka i mała burżuazja—przechodzą straszny kryzys. Ludzie ci, obawiający się własnego ludu więcej, niż Niemców — dążyli wszystkimi siłami do zakończenia wojny, decydując się nawet na klęskę i hańbę. *Otóż rząd w Vichy, będący wyrazicielem dążeń tej właśnie części społeczeństwa francuskiego —nie mógł, bez narażenia się na kompromitację w oczach własnych zwolenników, pakować Francję w drugą wojnę, stokroć bardziej niepopulurną aniżeli pierwsza.* I dlatego, zamiast wejścia rządu w Vichy do wojny z Anglią mamy tylko "współpracę" z Hitlerem.

Odezwa

Zbliżają się najpiękniejsze w roku święta braterstwa, miłości i nadziei, w których obdarzamy swych najbliższych podarunkami gwiazdkowymi —to święto Bożego Narodzenia.

...Pamiętamy: w roku 1939—tym Polonia Amerykańska za pośrednictwem p. Józefy Bagińskiej—prezeski Komitetu Pomocy w New York City, nadesłała dla polskich żołnierzy do Francji, sporą ilość podarunków. I tego roku zrobimy wszystko, ażeby te najpiękniejsze święta nasi kochani żołnierze spędzili radośnie.

WAS WSZYSTKICH CZEKA DZIEŃ JUTRZEJSZY—PODOBNY DO DZISIEJSZEGO, ALE ŻOŁNIERZY CZEKA WALKA. . .

Połączmy się z polskimi żołnierzami, wzmocnijmy ich ciepłym, serdecznym słowem, przełammy się z nimi opłatkiem, obdarzmy ich upominkami gwiadkowymi—serdecznie, jak przyjaciół, jak synów, jak braci!

Przystąpmy już teraz do zorganizowania akcji zebrania i gromadnego wysłania paczek gwiazdkowych. W każdej paczce niechaj będzie opłatek i dobre słowo—list z adresem ofiarodawcy do polskiego żołnierza! Nie róbmy paczek drogich, ale niechaj ich będzie dużo, aby dla wszystkich wystarczyło.

Niechaj centrale organizacyjne i poszczególni działacze uzgodnią akcję propagandową, podzielą pracę organizacyjną, niech zaapelują do Rodaków, niech zbiorą i prześlą do Anglii dary, wprost do głównych władz wojskowych, które przekażą je do obozów Wojska Polskiego.

**Oto adres: "Wydział Darów OF POLISH ARMY,
Buckingham Palace Road
(Rubens)
LONDON, S.W.1."**

Wierzymy głęboko, że wszystkie polskie rodziny rozsiane po całym świecie, przesyłając podarunki gwiazdkowe, połączą się z polskim żołnierzem walczącym w powietrzu, na morzu i lądzie, oraz z jeńcami wojennymi, zamkniętymi w obozach niemieckich i sowieckich.

O nich wszystkich—pamiętajmy.

**ZRZESZENIE
NIEPODLEGŁOŚCIOWCÓW
POLSKICH
we Francji obecnie (czasowo) w Londynie.**

Przegląd polityczny

Powiedzmy od razu, że nie zmienia ona zupełnie tej sytuacji, jaka wytworzyła się po kapitulacji francuskiej. O tym, aby Niemcy zrezygnowali z portów francuskich i francuskich baz lotniczych nie mogło być mowy. Będąc w wojnie z Anglią, nie mógł Hitler wypuszczać z rąk atutów, jakie mu dawało panowanie nad całą linią wybrzeża francuskiego, od Dunkierki aż po Biaritz. *I dlatego "pokój" lub "współpraca" z rządem w Vichy mogła iść jedynie i wyłącznie po linii takich ustępstw ze strony marszałka Pétaina, którebyby pozwoliły Niemcom na dalsze prowadzenie wojny z Anglią kosztem Francji.* Jakżeż zawodne okazały się te wszystkie nadzieje i kombinacje, które kilku małych kierowników wielkiego narodu przywiązywało do "naturalnego porozumienia" z Niemcami.

Prasa angielska, na wiadomość o nowym upokorzeniu, jakie spotkało Francję—zamieściła artykuły pt. "*Francja umarła—niech żyje Francja.*" Bardzo słuszna zmiana dawnego okrzyku na cześć króla i trwałości dynastii. Francja Lawalów, Flandinów i zdziecinniałych starców—umarła z chwilą, kiedy stała się narzędziem w ręku wrogów narodu. Przyszłość rządu w Vichy przedstawia się dla niego katastrofalnie bez względu na wynik wojny. W razie wątpliwego zwycięstwa Niemiec—rząd ten zejdzie do tego samego rzędu, co rząd czeski Hachy lub słowacki Tisy. Do rzędu wasalów Trzeciej Rzeszy. W razie daleko prawdopodobniejszej klęski Hitlera—dzisiejszych ministrów pociągnie do odpowiedzialności sam lud francuski. Anglia, a z nią cały świat cywilizowany wierzy w odrodzenie Francji, bez której nie można sobie wyobrazić równowagi i w ogóle życia Europy. I dlatego wszystkie akty rządu, który jest tak bardzo zależny od wroga, jak ten nieszczęsny rząd w Vichy—nie mają ani najmniejszego znaczenia, ani nawet wpływu na dalszy bieg wypadków.

Oświadczają to zresztą bez ogródek sprzymierzeńcy Hitlera, Włosi. W chwili, gdy kontrolowane przez Niemców radio w Lyonie, zapowiada okres "współpracy francusko-niemieckiej w nowej Europie"—prasa włoska zwraca uwagę, na "*konieczność stanowczego wyrugowania jakichkolwiek wpływów francuskich, zarówno na Atlantyku, jak i na Morzu Śródziemnym.*" Apetyty włoskie idą bardzo daleko. Żąda się nietylko francuskiej Riviery, Sabaudji, Korsyki, Tunisu i kolonij, ale także Marsylii i Prowancji. Dzisiaj państwa "osi" mogą łudzić Lavala "łągodnym pokojem" i "współpracą." Z chwilą jednak, kiedyby zabrakło groźby brytyjskiej—nastąpiłby momentalny podział Francji z udziałem Włoch, Hiszpanii, a nawet "niepodległej" Bretanii i różnych innych dziwolągów zarówno historycznych, jak i geograficznych.

NOWA WOJNA

Jak przewidywaliśmy, Włochy uderzyły na Grecję. Rząd Mussoliniego, oczywiście w najściślejszym porozumieniu z Niemcami, wystosował ultimatum do Grecji z terminem trzygodzinnym. Grecja ultimatum to odrzuciła. Premier Metaxas wystosował odezwę do narodu, w której oświadczył, że "niepodległość Hellady jest zagrożona" i Grecja musi walczyć do ostatniej kropli krwi w obronie swych praw do życia. Jednocześnie zwrócił się z apelem do W. Brytanii, który na pewno nie pozostanie bez echa. O piątej rano w dniu 28 października 1940 wojska włoskie przekroczyły granicę grecką. O szóstej samoloty Mussoliniego bombardowały—Ateny. Do długiego łańcucha zbrodni państw totalnych przybyła jeszcze jedna.

STANOWISKO TURCJI

Pierwszą ofiarą najazdu pada Grecja—ale bardzo poważnie zagrożona jest również Jugosławia. Tak samo w tych dniach zadecyduje się los Turcji. Prasa turecka wzywa swój rząd do największej czujności. Ankarę alarmuje nie tylko napad na Grecję, ale także sprawa Syrii, do której opanowania dążą jawnie Niemcy oraz ich najemnicy, Włosi. W Rzymie mówi się co raz częściej o "rewizji statutu syryjskiego." Wysłannicy niemieccy, a przede wszystkim Gestapo, rozwinęło już w tym kraju bardzo żywą działalność, wobec której fikcyjne władze francuskie są całkowicie bezsilne. Niedwuznacznie daje się rządowi tureckiemu do poznania, że w tej części Morza Śródziemnego ma zaistnieć natychmiast "nowy układ stosunków."

Ale Turcja zaznacza, że może się zgodzić na rewizję poprzedniego stanu rzeczy tylko pod jednym warunkiem. Mianowicie, że przyniesie ona gwarancję całkowitej niepodległości tego kraju.

Usadowienie się "osi" w Bejrucie i Damaszku, było by dla Turków tym, co zajęcie Czechosłowacji dla Polski. Turcji szachowanej od strony Bułgarii i Morza Egejskiego — *groziłoby okrążenie ze strony południowej.* Nic więc dziwnego, że zarówno rząd jak i armia turecka przygotowuje się na wszelką ewentualność.

RUCHY NA DALEKIM WSCHODZIE

Na Dalekim Wschodzie zarówno Anglia jak i Stany Zjednoczone przeprowadzają wspólnie plan obrony przed możliwym atakiem japońskim. Współpraca obu tych mocarstw zaznacza się co raz bardziej tak na Oceanie Spokojnym, jak i Atlantyckim. W odpowiedzi na to, Niemcy wysyłają do Tokio komisję techniczną, która ma ustalić porozumienie gospodarczo-wojskowe. *Nie jest wykluczone, że Niemcy starają się sprowokować Amerykę i wciągnąć ją do wojny wcześniej, aniżeli by tego chcieli w Waszyngtonie.* Berlin liczy na to, że wówczas przemysł amerykański pracowałby tylko dla zagrożonych Stanów i zmniejszyłyby się dostawy do Anglii. Możliwe—ale z drugiej strony bylibyśmy świadkami kolosalnego wysiłku Ameryki, przed którą stanęłoby takie samo niebezpieczeństwo, z jakim walczy dzisiaj Wielka Brytania.

CZAS PRZECIW HITLEROWI

Tak czy inaczej, udział Stanów Zjednoczonych w wojnie zaznacza się z każdym tygodniem co raz to silniej. Wymuszona nowa kapitulacja Francji nie jest, jak to twierdzi radio berlińskie "końcem wojny na Zachodzie." końca jeszcze daleko. Hitler wyzwolił straszne siły wojny światowej. Na razie działały one na jego korzyść. Ale już dzisiaj zaczyna się odwracać karta. I te barbarzyńskie ataki na Londyn nie są niczym innym, jak tylko potwierdzeniem faktu, że do rzędu swych przeciwników musi kanclerz Trzeciej Rzeszy zaliczyć również i bardzo ważny w czasie wojny czynnik—*a mianowicie czynnik czasu.*

tk

Z prasy sprzymierzonej

"Nasze Nowiny"

Doskonale prowadzony przez p. Bogumiła Berana czesko-słowacki dziennik wojskowy p.n. "Nasze Nowiny" w numerach wrześniowych przynosi wiele ciekawych rzeczy, z których niektóre pokrótce tu podamy i omówimy.

Według informacji pisma w t.zw. "protektoracie" Niemcy zarządzili, aby wszelkie napisy reklamowe i szyldy na sklepach były zredagowane albo tylko po niemiecku albo po niemiecku i czesku, przy czym "język panów" ma zajmować pierwsze miejsce. Ze strony niemieckiej cynicznie twierdzi się, że zarządzenie to jest pożyteczne dla handlu czeskiego, gdyż usprawnia reklamę! "Chwalimy Hitlera—pisze pismo—gdyż najwidoczniej pamięta o tym, żeby jego koledzy lakiernicy nie byli bez pracy."

Mały przyczynek do niemieckiego gazdowania w "protektoracie": jak się dowiaduje pismo, została wycofana z obiegu piędziesięcio-halerowa niklowa moneta czesko-słowacka, potrzebna na cele wojenne. Zastąpiono ją jakimś niemieckim "ersatzem."

W numerze z dn. 16 września pismo zamieszcza notatkę p.t. "Rocznica rosyjskiego przystąpienia do wojny" ironicznie wspominając pretekst ochrony Ukraińców, jakim usprawiedliwił się rząd sowiecki.

Nie wszyscy wiemy, o jakim losie dla Czechów marzył swego czasu Hitler. Pismo cytuje za Rauschningiem: "Czesi i Morawianie zostaną przesiedleni na Sybir i na Wołyn. Czesi muszą zniknąć z Europy Środkowej." Kto wie, czy Hitler nie marzy o tym jeszcze teraz. Notabene pismo komunikuje rady zdrajcy Hachy w przemówieniu radiowym, według którego Czesi powinni być jednocześnie dobrymi Czechami i dobrymi Niemcami! Słusznie pismo pyta, czy w takim razie Goebbels miałby być również dobrym Czechem.

Wśród numerów wrześniowych znajdujemy numer propagandowy w języku angielskim przeznaczony dla dzieci angielskich, z którymi żołnierze czesko-słowaccy żyją bardzo blisko przez pamięć na własne dzieci zostawione w rodzinnym kraju. Numer zawiera szereg informacji o Czecho-Słowacji zredagowanych przystępnie i jasno oraz opatrzonych ilustracjami. Dobry pomysł do naśladowania. W ogóle "Nasze Nowiny," pisane zasadniczo po czesku i po słowacku, od czasu do czasu operują rówież językiem gospodarzy. Dodajemy, że pewna ilość notatek pisana jest w jednym z dialektów morawskich, po "hanacku" (gwara z okolic Ołumuńca). "Hanacy," cieszący się w czesko-słowackim wojsku dużą popularnością, mają nawet swój odrębny komitet. "Hanakiem" jest obecny premier Monsignor Dr. Jan Szramek.

Z okazji trzeciej rocznicy śmierci "prezidenta-osvoboditele" Tomasza Masaryka "Nasze Nowiny" poświęcają zmarłemu specjalny number /14 września./

Druga rocznica mobilizacji powszechnej /z dn. 24 września r. 1938 — przed konferencją monachijską/ przynosi artykuł wspomnieniowy znanego pisarza F. Langera, tchnący żalem, że wówczas nie dane było czesko-słowackiemu wojsku walczyć z Niemcami.

Na uwagę zasługuje szerokie uwzględnienie przez "Nasze Nowiny" utworów dawniejszej i obozowej poezji czeskiej i słowackiej.

Na zakończenie krótka sugestia: czy ze względu na przyszłą ścisłą współpracę polsko-czesko-słowacką nie znaleźliby się w naszym wojsku ludzie, którzy by chcieli gruntownie nauczyć się po czesku lub po słowacku. Było by to niesłychanie pożyteczne dla nich samych i dla rozwoju współpracy. Sądzimy, że czesko-słowaccy koledzy zechcieliby tu pomóc. Może niektórzy z nich chcieliby również nauczyć się po polsku. Tylko: ostrożnie z "słomianym ogniem."

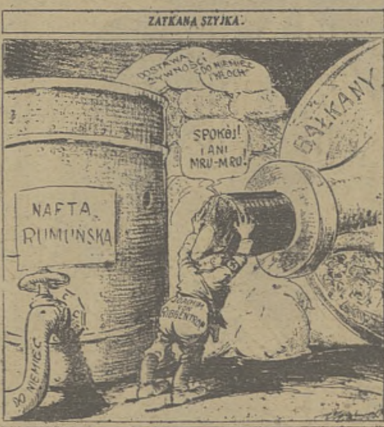
s. w.

Polityka w Karykaturze amerykańskiej

Głos Który Już Nic Nikogo Nie Wzrusza!



ZATKANA SZYJKA.



NAŚLADOWCA HITLERA



Odezwa

W nowym okresie walki przeciwko latającym hordom niemieckich barbarzyńców ok... w żelazo, Armia Polska ... na ziemi angielskiej zbiera, formuje i umacnia swoje szeregi.

Polacy i Polki! Wszyscy, którzy oddzieleni jesteście morzami od kraju ojczystego, od pola walki, od milionów braci i sióstr jęczących w niewoli niemieckiej i bolszewickiej—przyjdźcie z pomocą!

Daliście już tyle, a jednak wszystko to jest mało. Okrutnego wroga-zaborcę trzeba pokonywać dzień po dniu, stale, w zjednoczeniu jak największych sił.

Polski Żołnierz walczący na morzu, w powietrzu, czy na ziemi, musi czuć, że Wy wszyscy, Polacy i Polki jesteście razem z nim, że mu pomagacie.

Jakiż może być dowód tego współczuwania i współdziałania.

Dla tych, którzy są daleko od walki armii najwłaściwszym ujściem patriotyzmu jest dar na FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ.

Składajcie dary w gotówce, w złocie i srebrze, bieliznę, koce, papierosy, konserwy i t.p. i t.d.

Niechaj wojsko ma w ręku środki, ażeby mogło dobrze zorganizować i wyposażyć walkę.

Ofiarność Wasza na Fundusz Obrony Narodowej powinna stanowić główny i najważniejszy cel, wśród innych celów.

Pomóżcie!

**Adres: "Wydział Darów OF POLISH ARMY
Buckingham Palace Road
(Rubens)
LONDON, S.W.1."**

Każda ofiara, choćby najmniejsza jest lepszą niż żadna. Każda pomoc niesiona systematycznie jest skuteczniejsza niż dorywcza.

Zbiórkę na FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ trzeba wznowić. W miesięcznych Waszych rozchodach, niechaj znajduje się rubryka "NA F. O N."—aby Wam nikt nigdy nie mógł zarzucić, żeście byli głusi na wezwanie.

**Woła umęczona Polska:
Pomagajcie! . . .**

**ZRZESZENIE
NIEPODLEGŁOŚCIOWCÓW
POLSKICH
we Francji
obecnie (czasowo) w Londynie.**

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 5, Portugal St., W.C.2; V-e piętro.
Redaktor przymuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.